Nr. 7. Lwów, dnia 1. Lipca 1884. Rok VII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

KOZICA.

(ANTILOPE RUPICAPRA, GEMSE.)

PRZEZ

Dra. M. Nowickiego.

Przedmiotem niniejszej rozprawy jest kozica [1]), nadobna mieszkanka wysokich gór Europy. Ulega ona wraz ze swoim towarzyszem świstakiem niestety zapamiętałemu prześladowaniu, gdy tymczasem oba te niewinne zwierzęta, ograniczone u nas do jedynego stanowiska, t. j. Tatr, warte są ochrony, czy to dlatego, aby je zachować faunie ojczystej, na czem każdemu miłującemu kraj swój zależeć powinno, czy też z powodu, że one nadają górom właściwy urok i mile ożywiają dziką, martwą pustynię świata turniowego i halnego [2]), gdzie przebywają. Krom nich też wszelkie inne życie na tej wysokości maleje i niknie.

Opowiadania moje odnoszą się głównie do kozicy w Tatrach żyjącej.

Wprawdzie o kozicy w ogóle dosyć już pisano, a szczególnie z zajmującego dzieła Tschudego dostateczną o alpejskiej powziąć można wiadomość. Atoli w pismach polskich napotykają się tak pobieżne opisy lub wzmianki dotyczące kozicy tatrzańskiej, iż obszerniejsza o niej rozprawa nie będzie bynajmniej zbytecznym do onych dodatkiem. Co w tej rozprawie opowiadam, nie wziąłem wręcz z dzieł obcych. Owszem poprzedziły jej napisanie częścią własne spostrzeżenia podczas kilkoletnich wycieczek w Tatry, częścią zaś oględne wywiedzenie się u Zakopian, głównie u Wali, Sieczki i Tatara, niegdyś myśliwych na kozicę. Świadomość rzeczy tych górali dowodzi, że ciekawie śledzili sposobu życia i obyczajów kozicy tatrzańskiej. I nic w tem dziwnego, gdy się zważy, że strzelcy, aby na nią polować ze skutkiem, musieli się dokładnie obeznać z jej obyczajami, zarazem z właściwościami Tatr, na których ona żyje, niemniej z objawami meteorologicznymi, co wszystko na powodzenie lub niepowodzenie polowania nie jest bez wpływu. Szczegóły podane spisywałem na miejscu podczas mego pobytu w Tatrach, znaczną część pod wrażeniem własnej intuicyi. Zestawiwszy sobie potem rzecz w domu, wezwałem Walę i Sieczkę do Krakowa, by ją jeszcze raz

[1]) Podhalanie tatrzańscy używają nazw kozicka (koziczka), koza dzika lub po prostu koza. Z tych nazw zatrzymuję pierwszą, gdyż kozicę jako antylopę nazywać kozą lub dziką kozą, byłoby niewłaściwem.

[2]) Górale tatrzańscy zowią zamieszkane przez nich doliny, otaczające Tatry, podhalem (stąd ich samych nazwa Podhalan), pas Tatr lasem zarosły reglami, część ich od górnej granicy lasu do głównego grzbietu halami, a nagie skaliste szczyty turniami.

z nimi omówić i przy tej sposobności uzupełnić, gdyby co przepomniano. Po kilkodniowej pogadance nie stało wreszcie nawet konceptu do pytań i odpowiedzi, i zdawało się, że już przedmiot wyczerpany. Atoli będąc z drem. Janotą i drem. Julianem Czerkawskim w Tatrach, gdyśmy wzięli w obroty górali zapraszanych na poczesne i każdy z nas dopytywał się ich o swoje, historya kozicy znowu wzbogaconą została niejednym szczegółem ciekawym. Wtedy to podczas jednej z naszych gawęd Sieczka podparłszy się na ręku, jakoś się zadumał. I cóżeście się tak zamyślili, Macieju? „E, proszę pana — odrzekł — widziało mi się w Krakowie, żeśmy wam już wszystko a wszystko wygadali o kozicy, a tu przecież jeszcze sobie niejedno o niej przypominamy, i to mi dziwno.“ Na co odrzekłem: Moglibyśmy jeszcze lata o tej samej rzeczy mówić, a zawszeby się coś nowego przypomniało. I zaiste tak jest. Przeto też ogłaszając niniejszą rozprawę, życzę, aby jej braki dopełniono zestawieniem tego, co mi pozostało niewiadomem. W końcu nadmieniam jeszcze, że z opowiadań górali przejąłem także miejscowe wyrażenia, które posłużyć mogą za dowód, ile języka jest tam, gdzie po niego nie sięgamy.

* * *

Opis kozicy. Kozica należy do rzędu przeżuwaczów *(Ruminantia)*, rodziny pustorożców *(Cavicornia)* i rodzaju antylopy *(Antilope)*.

Przeżuwacze winne nazwę swoją przeżuwaniu czyli mierendzaniu [1]) strawy raz połkniętej. W związku z tą właściwością fizyologiczną zostaje także budowa żołądka tych zwierząt, złożonego zwykle z czterech torb rozmaitego przeznaczenia i odmiennej budowy. Torbami temi są wole *(rumen)* i czepiec *(reticulum)*, księgi *(omasum)* i trawieniec czyli po ludowemu gleg *(abomasum)* [2]).

Inaczej zowią się przeżuwacze także racicznemi lub dwukopytnemi *(Bisulca)*, mają bowiem u nóg zwykle po 4 palce z osobna racicmi pokryte, stąpają jednak po ziemi tylko dwoma przedniemi, pomiędzy któremi u wielu z nich znajdują się tak zwane gruczoły raciowe. Dwa tylne palce mniejsze, ratki czyli rapetki, umieszczone nieco wyżej od przednich, prawie nigdy nie dotykają ziemi. Palce przystawione są do jedynej kości stopą *(tarsus)* zwanej i zastępującej jak u konia kostki śródręcza *(metacarpus)* i śródnóża *(metatarsus)*. Ona to będąc dosyć długą, sprawia, iż odnóża stają się wyższemi niż u innych ssaków, stąpających po ziemi całą stopą.

Trzecią właściwością przeżuwaczów jest ich uzębienie zwykle niezupełne, składa się bowiem tylko z zębów trzonowych o fałdowanej koronie i z pochyłych siekaczów w szczęce dolnej, podczas gdy szczęka górna w miejscu siekaczów ma tylko dziąsło twarde jak nagniotek. Kły tylko u niektórych są wykształcone, a między siekaczami i zębami trzonowymi znajduje się u wszystkich wielka szczerba, skąd też uzębienie jest niezwarte.

Wiele przeżuwaczów ma także rogi osadzone na czopowatych możdżeniach czyli wyniosłościach szerokich kości czołowych. Wszakże nie u wszystkich rogatych przeżuwaczów rogi są jednakie. Jedne z nich bowiem mają takowe puste oraz trwałe, t. j. przez całe życie nie odpadające im; inne zaś pełne, gałęziste i nietrwałe, gdyż co rok im odpadają i na nowo odrastają. Za tą to różnicą poszedł podział przeżuwaczów rogatych na pustorożce *(Cavicornia)* i pełnorożce *(Crassicornia s. Cervina)*. Zresztą mają przeżuwacze język szorstki, prawie kolczysty, i takąż wewnętrzną stronę warg i policzków, włos gęsty, przylegający do skóry, oczy duże, żywe, uszy długie, stojące, nos zawsze przykrótki, wargi wielkie, ruchliwe, szyję długą, ruchawą, kadłub ściśniony rozmaitej długości. Ogon sięga u jednych po przegub stopowy, u innych dochodzi zaledwo kilku cali. Sutek jest par dwie lub jedna, umieszczonych w pachwinach. Na wzmiankę zasługuje także i to, że się u przeżuwaczów obfity tłuszcz osadza, dostarczający łoju, jak to wiadomo o tucznych wołach.

Wszystkie przeżuwacze żywią się wyłącznie roślinami, są zgodliwe, mało pojętne, w dzikim stanie lękliwe, baczne, ostrożne, doskonałym węchem i słuchem obdarzone. Żyją przeważnie w wielożeństwie, rodzą zazwyczaj tylko jedno młode, które zaraz widzi i za matką chodzi. Napaść odpierają rogami lub ratują się przed nią chyżym biegiem. Rozsiedlone są w rozmaitych gatunkach po całej ziemi od niżu aż do górskich krain. Pierwotnie nie było ich tylko w Nowej Holandyi, dokąd je wszakże już przesiedlono. Są one z wszystkich zwierząt dla człowieka prawie najważniejsze, a niektóre z nich od niepamiętnych czasów nietylko oswojono, lecz w prawdziwe zamieniono zwierzęta domowe, przynoszące człowiekowi w gospodarstwie jego nieobliczone pożytki, dostarczają mu bowiem żywności i ubrania, użyczają siły i t. p. Są też głównym warunkiem większego skupiania się ludzi w pewnych stronach, czem znaczny wywierają wpływ na cywilizacyę. W stanie dzikim są nęcącym przedmiotem wypraw myśliwskich, połączonych zarówno z przygodami i trudami, jak polowanie na nierównie silniejsze i dziksze zwierzęta.

Przeżuwacze nie wiele obejmują rodzajów. Zoologowie ujęli je w cztery rodziny, z których na naszej ziemi tylko dwie mają swych przedstawicieli, a mianowicie rodzina pełnorożców sarnę, jelenia i łosia, tudzież daniela po zwierzyńcach chowanego, zaś rodzina pustorożców swojskie kozy [1]), owce i bydło rogate, a z dziko żyjących kozicę.

---

[1]) Wyrażenie polskich Podhalan. I ruscy górale mówią, że bydło mierendże, albo że rumyga.

[2]) Przeżuwacz pasący się rozgryza pokarm zrazu na grubo, który połknięty zstępuje przełykiem *(oesophagus)* do obszernego wola. Napasiony oddaje się spoczynkowi i leży zazwyczaj, a pasza przechodzi z wola do czepca, torby mniejszej, kulistej, z wewnętrzną powierzchnią zdobnie siatkowaną. Tu przejmując się i zmiękczając wydzieliną błony śluzowej, zbiera się w dzięgwę czyli małe bryłki, które skutkiem aktu do wymiotów podobnego powracają z czepca przez przełyk napowrót do gęby, gdzie po raz drugi zostają dokładniej pogryzione i śliną przemięszane. Dzięgwa powtórnie połknięta mija teraz wole i czepiec i dostaje się rynienką przełykową wprost do ksiąg, torby trzeciej, wewnątrz jakby listkami wyłożonej, a stąd do właściwego żołądka czyli trawieńca, gdzie ulega zupełnemu strawieniu. Mechanizm wędrówek dzięgwy tłumaczy budowa przełyku. Ten bowiem otwiera się u dołu najpierw do wola szparkowatem ujściem, a obie tegoż wargi przedłużają się w kształcie rynienki nad czepcem aż do ksiąg, gdzie przełyk ma swoje ostatnie ujście. Gdy więc przeżuwacz połknie dzięgwę na grubo pogryzioną, w takim razie ta cisnąc na wargi zamykające szparkowate ujście przełyku do wola, rozsuwa je i wpada do wola, gdy tymczasem powtórnie przeżuta i obficie rozwiedziona śliną, spływa niejako jak woda lub też u młodych ssane mleko wzdłuż rynienki przełykowej do ksiąg. Sysaki nie przeżuwają, a trawieniec ich, dopóki ssą, jest największy. Gdy się później paść zaczną, rozwija się wole coraz więcej i wtedy zaczynają przeżuwać.

[1]) Koziorożec *(Capra ibex)* prawie już wytępiony. Obecnie znajduje się w niewielu okazach jeszcze tylko na niedostępnych



Kozice w popłochu.

Pustorożce mają rogi rozmaitej postaci i długości, a co główna, puste wewnątrz i nigdy nie odpadające; kostne możdżenie czołowe [1]) są niemi na kształt pochwy objęte. Samicom czasem brak rogów. Uzębienie pustorożców składa się z 8 siekaczy w szczęce dolnej i 24 zębów trzonowych, w każdej szczęce po 8. Zresztą mają żołądek z czterech torb złożony, budowę ciała i wymiary jego, kształt, włos, raci i długość ogona bardzo rozmaite, pyzę nagą lub obrosłą. Niektóre mają bródkę, pod oczami dołki łzowe, a największa część posiada gruczoły raciowe. Pustorożce rozsiedlone są prawie po całej ziemi, szczególnie zaś na starym lądzie. Afryka ma ich najwięcej, po niej idzie Azya; Europa posiada tylko kilka, a najmniej Ameryka. Żyją one częścią w okolicach lesistych, częścią po stepach lub po górach wysokich, wszystkie zaś gromadnie i pospolicie w wielożeństwie, co je usposabia do oswojenia. Jakoż istotnie należą do nich najniezbędniejsze zwierzęta domowe, na których, jak wiadomo, polega gospodarstwo wiejskie i górskie. Systematycy łączą liczne pustorożce zwykle w cztery rodzaje, a tymi są wół, owca, koza i antylopa.

Antylopy są piękne pustorożce, postaci zwykle smukłej i lekkiej, o nogach wysokich, kształcie rogów i raci, jakości odzieży, oraz długości ogona i innych cechach zewnętrznych bardzo zmiennych. Przedstawiają one liczniejsze gatunki niż inne pustorożce, znamy ich bowiem w ogóle przeszło 60 gatunków żyjących, a 11 kopalnych. Pierwsze okazują podobieństwo do innych przeżuwaczów i rzeczywiście powtarzają się między niemi tychże rozmaite typy. Tak widzimy między niemi obok smukłych i nadobnych kształtów jelenia i kozy z tą samą lekkością i chyżością biegu kształt mniej zgrabny i krępy, przypominający wołu, a zasię szlachetną postać konia. Zamieszkują one głównie krainy międzyzwrotnikowe, najwięcej Afrykę. Europa posiada z nich jednę tylko kozicę [2]). Żyją parami, rodzinami lub stadami, a jak jeleń i sarna lasy, koza zaś góry skaliste, tak lubi wiele antylop rozległe stepy, gdy tymczasem inne tylko na łysicach górskich żyć mogą, jak właśnie kozica. Antylopy górskie mają raci z ostro wystającym brzegiem zewnętrznym, który im służy do czepiania się skał, zaś stepowe, jak bydło rogate, podeszwę równą, dotykając nią całą ziemi. Wszystkie są łagodne, zgodliwe, towarzyskie, nader chybkie, bardzo płoche, bojaźliwe i baczne na niebezpieczeństwo, w którego unikaniu bystry węch i słuch wielkie im oddają usługi. Właściwa jest im żwawość kozy bez jej kaprysów i rzadkie zamiłowanie wolności. Niektóre gatunki można oswajać, pożytku jednak z nich mało. Więc polują na nie więcej tylko z namiętności podniecanej snać koniecznością pokonywania niezwykłych trudów.

Pomiędzy antylopami w płci obojej rogatemi, drobniejsze gatunki postawy koziej, z ogonem jak u kozy krótkim i z małymi rogami raz tylko zakrzywionymi, razem jednę tworzą grupę *Caprina.* Do niej należą antylopa sumatrańska *(Antilope sumatrensis)* z Sumatry, kędzierzawa *(A. crispa)* z wysp japońskich Nipon i Sykok, wełnista *(A. lanigera)* i widłoroga *(A. furcifer)* z gór skalistych Ameryki północnej, wreszcie kozica *(A. rupicapra)* z Europy, o której właśnie obszerniej chcę pomówić.

Kozicę znali już Grecy i Rzymianie. Plinius wspomina ją pod nazwą *rupicapra.* Przez długi czas znano ją z pewnością tylko z Alp. Później dopiero poznano ją też z Pirenejów, Kaukazu [1]), Tatr i gór Siedmiogrodzkich. Na naszej Czarnohorze znajdowała się także jeszcze przed kilkunastu laty, ale ją tutaj niestety wytępiono. Według Sundevalla ma się kozica znajdować także w Abruzzach, a według Wagnera w Grecyi. Blasius zwidzając w 1835 roku Tatry, przekonał się na własne oczy, iż kozica tatrzańska nie różni się gatunkowo od alpejskiej. Kozicę z Kaukazu widział tenże Blasius wprawdzie tylko w odzieży zimowej, nie znalazł jednak różnicy od alpejskiej. W ubarwieniu kozicy pirenejskiej, której okaz jak i tatrzańskiej posiada zoologiczne muzeum krakowskie, chciano się dopatrzyć niektórych odmian, Schinz jednakże robi słuszną uwagę, że barwa i u kozic alpejskich jest zmienna, a my dodamy, że i u tatrzańskich, co każdemu strzelcowi wiadomo. Zdaniem Blasiusa różnice kozic postrzeganych dotąd w rozmaitych górach tak są podrzędne, iż nie można ani myśleć o ich rozdzieleniu na osobne gatunki. Owszem wszystkie należą do jednego i tego samego gatunku.

Od innych antylop różni się kozica przedewszystkiem rożkami, o których niżej mowa. Postacią swą w ogóle wprawdzie bardzo przypomina kozę, stąd też nasi Podhalanie zowią ją, lubo niewłaściwie, dziką kozą, różni się jednak od kozy na pierwszy rzut oka ciałem krótszem i zwięźlej zbudowanem, rogami kształtu innego i brakiem brody, ma też uszy kończyste, szyję dłuższą, a nogi wyższe i grubsze. Ciało kozicy jest w ogóle sprężne. Szczególniej może ona wyciągnąć piękną i mięsistą szyję.

Wymiary kozicy według Blasiusa są następująca: Długość ciała 3′ 6″, głowy 9″ 6‴, ucha 4″ 8‴, ogona 3″ 6‴; wysokości przodu 2′ 4″, zadu 2′ 6″. Tschudi nadmienia, iż kozica stojąc na wszystkich czterech nogach, tak się może w górę wyprężyć, iż dosięgnie 6 stóp wysokości, przyczem ciężar ciała niemal zupełnie spoczywa na tylnych nogach. Pytanym o to strzelcom tatrzańskim wydawało się 6 stóp za wiele i godzili się tylko na 4 stopy. Rogi mają

szczytach (9000 stóp) alpejskiego pasma Mont-Blanc i Monte Rosa. Dawniej żył on także na szczytach szwajcarskich i tyrolskich Alpach. W Tatrach lub Beskidzie nie było go za pamięci ludzi; bez podstawy więc przytaczają go jako mieszkańca Tatr Wahlenberg w swej *Flora Carpathorum,* a Dr. Zawadzki w swej *Fauna der galizisch-bukowinischen Wirbelthiere.* Dr. Zawadzki oparł swoje twierdzenie w dobrej wierze na podaniu jakiegoś leśniczego, że skóra, którą mu pokazał, pochodziła z koziorożca tatrzańskiego.

[1]) Możdżeń nie jest kością litą, lecz zawiera wewnątrz mniej lub więcej obszerne komórki lub jamy, zostające w bezpośrednim związku z jamami pomiędzy ścianami kości czołowych. U noworodków wskazuje miejsce rogów skrętek włosów. Wnet atoli wznosi się guz pokryty pomienionym skrętkiem stożkowato do góry, powlekając się rogowiną, a w miarę jak możdżeń staje się dłuższym i większym, obrastają go od wewnątrz i spodu coraz to nowe warstwy rogowe. Przyrosty rogów rosnących są z wiekiem coraz krótsze, a na rozgraniczu tychże tworzą się częstokroć zmarszczki, karbiki lub guzy w pewnych okresach czasu nie dających się dokładnie oznaczyć.

[2]) „Przed dwoma wiekami — pisze Wałecki w swoim „Przeglądzie zwierząt ssących krajowych“ (Biblioteka Warszawska z m. Czerwca 1866 r.) — Ukraina naddnieprzańska była dla suhaka *(Antilope saiga* Pall.) gościnnym przytułkiem; coraz groźniejsze zawieruchy wypłoszyły go, usunął się za Wołgę i Jaik i musimy go zupełnie z fauny europejskiej wykreślić; pozostałe jednak o nim w literaturze naszej wzmianki nie pozwolą o nim zapomnieć. Żyje na roległych i cichych stepach; w miarę jak się te zaludniają, opuszcza je i wynosi się dalej w pustynie.“

[1]) Giebel podaje w wątpliwość istnienie kozicy w Kaukazie, ale bez zasady.

obie płci kozicy, cap do 11 cali długie, koza mniejsze. Są one osadzone między oczami, obłe, lśniąco czarne, nader mocne, w części dolnej prostopadle do czoła wzniesione, gęsto w podłuż brózdkowane, a dla przyrostów rocznych niewyraźnie w poprzek obrączkowane, w samych końcach zaś gładkie, przytem wędkowato w tył zagięte, co kozicę na pierwszy rzut oka gatunkowo znamionuje. Podhalanie tatrzańscy zakrzywione końce rogów zowią kulkami. Z liczby obrączek u dolnej części wnoszą na wiek kozicy, utrzymując, że corocznie (?) przybywa jedna przy nasadzie rogu. Za nasadą każdego rogu znajduje się płytki dołek gruczołowy. Ten jest na zewnątrz według Giebla otworkami opatrzony, a według Tschudego nabrzmiewa u capów podczas rui gąbczasto, jak obocze u tokującego głuszca, wydając zarazem woń przenikliwą.

Zębów ma kozica 32, t. j. siekaczów w szczęce dolnej 8 i zębów trzonowych 24. Siekacze są dosyć grube, z ostrzami prawie równo szerokiemi, średnie nie wiele szersze od bocznych. Zęby trzonowe podobne są do kozich. Uszy jej umieszczone trzy cale za rogami są kończyste, stojące, podczas nasłuchiwania naprzód zwrócone. Warga górna i nos porosłe, tylko wąskie międzynozdrze nagie. Oko szczególniej piękne, wielkie, mocno wypukłe, czarne i żywo świecące; dołków łzowych przed oczami odznaczających jeleni brak. Ogon krótki, jednostajnie siercią porosły.

Odnóża kozicy są prawie niezgrabne ale silne, tylne nieco dłuższe od przednich, co jej ułatwia dalekie susy. Palców u nóg ma cztery, t. j. dwa przednie większe czyli raci i dwa tylne mniejsze zwane ratkami. Pomiędzy raciami znajduje się według opowiadań strzelców torbeczka skórna, o której bez własnego widzenia, do czego nie miałem sposobności, trudno orzec, czyby była gruczołem raciowym, o którym pisarze przemilczają, lub raczej ułatwiała rozkraczanie raci. Same raci są czarne i aczkolwiek dosyć niezgrabne, jednak wybornie zbudowane do spinania się po skałach i do chodu po śniegu lub lodzie, który zresztą kozica, o ile jeno może, omija. Są bowiem długie, z podeszwą szeroką, ale nierówną, lecz wyżłobioną, co stąd pochodzi, że są znacznie niższe wewnątrz i w tyle, niż zewnątrz i na przodzie. Innemi słowy mówiąc, raci mają koniec prawie kończato zwężony, a brzeg zewnętrzny ostro wystający, przytem łukowato wcięty. Taką to racią kozica może nietylko bezpiecznie uczepić się choćby najmniejszego wysterku skały, lecz także na pewno stąpać po najgładszym lodzie, gdyż rać z łatwością się weń wrzyna. Dobre usługi oddaje kozicy pędzącej po śniegu i lodzie lub na ostrej krawędzi i to jeszcze, że raci jej mogą się szeroko rozwierać. Wystające brzegi zewnętrzne raci są jak stal twarde, tak że słychać z daleka ich uderzenia o skałę, gdy kozica bieży. Przez zimę nadrastają one, w lecie zaś zdzierają się, a kozica stąpa wtedy więcej podeszwą. Myśliwi tatrzańscy dotyczące spostrzeżenia swoje o kozicy tak opowiadają: „Na wiosnę ma kozica pod racicą małe koryciosko, w lecie krajki zdarte, środek zaś wypęczysty i miękki, którym chodzi.“ Ratki są miseczkowate, wewnątrz nieco wklęsłe, dosyć wysoko nad raciami umieszczone; dotykając w pełnym cwale ziemi, dopomagają także do powstrzymania pędu kozicy spuszczającej się po śniegu lub skałach pochyłych. Trop jej podobny jest koziemu, ale nieco dłuższy, kończystszy i ostrzejszy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NOC W GÓRACH.

PRZEZ

Zygmunta Pietruskiego.

Dość, dość łowów w równinach,
W jednostajnych nizinach,
Tutaj serce już tęsko coś bije;
Raczej w górskie dąbrowy,
Tam świat inny i nowy,
Tam też dusza weselem odżyje.

A więc w góry przed siebie,
Tam w ustronnej kulebie
Inny świat się dla oczu przedstawi,
Tam krajobraz odmienny,
I bór głuchy i senny,
Oko mile widokiem zabawi.

Więc kierujmy tam kroki,
Gdzie Pustoszak wysoki,
Kędy Girgan aż w niebo się wznasza,
I w skalistą gościnę
Łowców naszych drużynę,
Gdy gospodarz uprzejmie zaprasza.

Noc była ciemna, na niebios sklepieniu
Miesiąc się srebrzył w niecałym pierścieniu,
Jakby się trwożył już bliskiej tej chwili,
Kiedy jutrzenka niebiosa odchyli
I gdy poranka zwiastunka ta chyża
Da znak niechybny, że dzień już się zbliża;
W około niego rozlicznych gwiazd rzesza,
Jak za przewódzcą w ślad za nim pospiesza,
I płynąc ciągnie w nieznane gdzieś strony,
Zwracając za nim spojrzenia złocone.
Wtem gwiazdka mała błysnęła rumiana,
Tchnieniem poranku leciuchno owiana,
I taka siebie jakoby niepewna,
I taka cicha i drobna i rzewna,
Że rzekłbyś prawie, iż sama się trwoży,
Czy nie zawcześnie błysnęła w świat boży,
To raz się schowa, to znów się ukaże.
Oto na niebios tajemnym zegarze,
Ostatnia nocy już spadła godzina,
Księżyc zrozumiał, że dnieć już zaczyna,
I w mgły oponę jakby otulony,
Jeszcze raz spojrzał na gwiazd swych miliony,
Zgromadził chmury krąg w około siebie
I pożeglował gdzieś dalej po niebie.
Wtem spojrzyj, widzisz? Wśród nocy ponurej
Coś w górze błysło odblaskiem purpury,
Ni to jak ognik błędny i zwodniczy,
Co pielgrzymowi w drodze przewodniczy,

Ni to się niebo szczeliną roztwiera,
I jasnem okiem na ziemię spoziera;
Lecz patrz — ta jasność coraz się rozlewa,
I już widoczne kształty przyodziewa,
Jak promień słońca, co błyśnie z za chmury,
Szerszy u dołu, a węższy u góry:
To szczyt Pustoszak. On dnia już spragniony,
Pierwszy pochwycił dnia odbrzask złocony,
I nim się zorza na niebie odbije,
Zanim dolina jasnością odżyje,
Ten olbrzym górski, co zda się wylata
Skalistym brzegiem nad ziemski krąg świata,
Pierwszy oblicze ku słońcu obraca,
I jego blaskiem swe skronie ozłaca.
Tak prorok Boży, gdy świat w cieniach drzemie,
On duchem wyższy nad spółczesnych plemię,
Pierwszy odgadnął i prawdą się zdumiał,
Nim spojrzał — zoczył, nim zoczył — zrozumiał.
Zwolna się jasność po niebie rozlała,
I już firmament, jakby w ogniu, pała,
A brzask po niebie leciał lotem ptaka,
Leciał i zdumiał — ujrzał Pustoszaka!
Ten światłem rannem niby przebudzony,
Wstrząsnął potężnie zimnemi ramiony,
Mgłę z barów zsunął, poglądnął w około,
I dumnie w górę śnieżyste wzniósł czoło,
A mgła powoli na dół opadała
I srebrną wstęgą stopy okalała,
Aż zatrwożona, srebrzysta, skrzydlata,
Z powiewiem wiatru w doliny ulata,
I gór monarchę rzucając pomału,
Żegna go z żalu kropelką kryształu,
Która w postaci porannej łzy rosy,
Lekko zawisła już pomiędzy wrzosy.
Nadejściem światła noc ze snu ockniona,
Wśród ciemnych lasów ukrywa się łona,
Czekając, rychło znów skrzydła rozszerzy,
Gdy słońce w koło krąg nieba przebieży.
Krąży podanie, że w górskiej krainie
Noc z brzaskiem dziennym zupełnie nie ginie,
Ani się w świetle słonecznem rozpływa,
Tylko się w borach głębokich ukrywa.
Lasy te głuche mają być i senne,
W nich uroczyska groźne i bezdenne
Tak, że gdy człowiek się zbłąka w te strony,
Cofa się szybko, ich grozą strwożony.
Wtem coś stuknęło, jakby dzięcioł dziobem
Kując uderzał po konarze grubym.
Stuknął raz jeden, drugi raz i trzeci —
Myśl się wyrywa i już naprzód leci,
A ucho łowca znany odgłos chwyta,
A serce głowy o radę się pyta,
Teraz już poznał, już wie, już to czuje,
To głuszec kłapał, że głuszec tokuje!
A więc spokojnie stąpaj zwolna łowcze,
Bo już nadeszły te chwile stanowcze,
Że choć ci zapał prawie pierś rozsadzi,
Cicho, roztropnie — każdy krok cię zdradzi —
Póki tokuje, postąp krok i drugi,
A potem czekaj, choć szereg chwil długi,
Bo głuszec słucha, a gdy w takiej chwili
Choćby gałązka pod stopą się schyli,
Gdy szmer najlżejszy od ciebie przybieży,
Wnet ptak królewski swe pióra rozszerzy,
Podniesie głowę, na skrzydłach się wzniesie
I gdzieś ci zniknie w tajemniczym lesie.
Lecz stój — co widzę — przez sen czy ja marzę?
Jakiś punkt ciemny widny na konarze —
Nie! — Na konarze, co siła olbrzyma
Ramię żylaste wyprężone trzyma,
Był ptak wspaniały, a w okół pod drzewem
Liczne kochanki, przynęcone śpiewem.
Głuszec już spojrzał wzrokiem Padyszacha,
Co nim wybierze, namyśla się, waha,
Wyciągnął szyję, nadął się wspaniale,
I po gałęzi sunął się niedbale,
Skrzydła opuścił, głowę na dół skłonił,
Oczy powieką na poły przysłonił,
Ogon roztoczył i wraz zatokował,
I jakby w swojej się pieśni lubował,
Znowu przystanął, zagrał — w głuchej ciszy
Łowiec już bicie swego serca słyszy,
Tylko się złożyć, proch iskrą zapalić
I ptaków króla na ziemię powalić!
Wstrzymaj się chwilę, nie psuj jej uroku,
Daj duszy marzyć, daj się patrzyć oku:
Jaki był piękny w swojej całej chwale,
Jak się przedstawiał mym oczom wspaniale,
Tyle w nim było wtedy majestatu,
Kiedy urągał całemu w krąg światu,
Że jak monarcha zdał się okazały!
Cały ten widok, w okół dzikie skały,
Cisza w powietrzu, ptaszął dźwięczne śpiewy,
Co brzmiały z dali przez urocze krzewy,
Wszystko to razem — całe wszechstworzenie
Takie na łowcu sprawiły wrażenie,
Że czując całą piękność tego świata,
Rad był tak marzyć przez wieki i lata!

Poczekałem chwilę małą,
  Powstrzymałem krok,
I widownią tą wspaniałą
  Napawałem wzrok.

I zmierzyłem się zabójczo,
  Odłożyłem broń,
Ja nie śmiałem skrytobójczo
  Tak wystrzelić doń.

O bracia łowcy, wy mnie zrozumiecie,
I wy mój zachwyt nadziemski pojmiecie,
Czemu ja wtedy z tym duszy zapałem
Do tego ptaka wystrzelić nie śmiałem.
Wszak zniszczyć łatwo, stworzyć dzieło trudno,
A taką piękność uroczą i cudną
W tej chwili zniszczyć, zbrodnią mi się zdało.
Jeszcze chwil wiele w życiu mi zostało.
Nie pierwszy głuszec to i nie ostatni
Na strzał mi przyszedł w tej bezbrzeżnej matni!
Może mnie zdania tych łowców obwinią,
Co dziś myśliwstwo już rzemiosłem czynią,
Może mnie spotka i zarzut herezyi
W swoim zakresie, lecz tyle poezyi
Było w tej dobie, głuszec tak uroczy,
Żem nie śmiał strzelić do niego z uboczy.

Do was się zwracam myśliwi w równinach!
Tu spieszcie wszyscy, bo w górskich wyżynach,
Gdzie głąb przepaści już oko nie zmierza,
Gdzie szczyt skalisty o niebo uderza,
Gdzie góra czołem dżdżyste chmury pruje,
Tu rozkosz rzadką myśliwy uczuje,
Bo tu myśliwstwa prawdziwa kraina,
Tu świat się kończy, a raj rozpoczyna,
I jeśli serce myśliwskie masz w łonie,
Jeśli myśliwski żar w sercu ci płonie,
Gdy nie dbasz o to, by strzelić sto razy,
Zdobić setkami myśliwskie wykazy,
Gdy nad tępienie nędznego szaraka,
Przekładasz widok królewskiego ptaka,
Jeśliś myśliwym, nie strzelcem jest tylko,
Tutaj spiesz chętnie każdą wolną chwilką,
Tutaj pospieszaj na głuszcowe gody,
Tutaj podziwiaj te cuda przyrody,
Ucz się z tych jarów i tych gór ogromów,
Z tych szczytów śnieżnych i z tych skał rozłomów,
Podziwiać Tego, co te cuda stworzył,
Co dzikie góry tak w grupy ułożył,
I w tej wszechświata wspaniałej świątyni,
Gdzie sam Bóg sobie z gór ołtarze czyni,
Wszelka cię troska codzienna odpadnie
I taka radość twem sercem zawładnie,
Że będziesz, czując w twem sercu wesele,
Uwielbiał Stwórcę w jego arcydziele.

MYŚLIWSTWO W KUTKORZU.

NASZKICOWAŁ

Aleksander Ubysz.

Po raz trzeci odezwał się przeraźliwy świst lokomotywy, z radością ruszyłem w niedaleką podróż z dworca Podzamcza. Malownicze istotnie położenie tego dworca, przypartego do stóp Wysokiego zamku, z którego szczytu rozlega się szeroki widok w dal ku Laszkom, Srokom aż ku siniejącym lasom Jaryczowa, a cała ta przestrzeń równa, przeważnie łąki, które przecina nie modra wprawdzie, ale w czasie wylewów użyźniająca Pełtew. „Jeśliś bracie jest myśliwym", powiemy z W. Polem, łatwo poznasz, że to odwieczna pielesz ptactwa błotnego i wodnego. Zwróciwszy wzrok ku zachodowi, widzimy dosyć stromo podnoszące się góry, skąpo porośnięte lasem, w miniaturze dające wyobrażenie o okolicach górskich i kolejach żelaznych prowadzonych przez góry. Wyżyny te, odnoga Karpat, piękny dają widok, jak również droga żelazna wznosząca się coraz wyżej, to znów dążąc do głównego dworca, wijąca się śród głębokiego jaru.

Dzień pogodny majowy, nawet dosyć skwarny, więc w wagonie duszno mimo otwartych na przestrzał okien, gdzieś w pobliżu pogwizduje wilga. „To wedle deszczu" — rzecze jeden z podróżnych, odziany w chłopską siermięgę, w wojskowej czapce na głowie, buchając kłębami jakiegoś arcysmrodliwego tytuniowego dymu. „Tak, tak" — odpowiadam krztusząc się jak lis podkurzony — „już i chmury nadciągają". — „Abo może ni" — ciągnął dalej rycerski meteorolog — „abo to ja raz przepowiedział; buwało mówim w szkadronie: chłopcy, nyni z egzecyrki nix, bude doszcz..." Żwawszy turkot kół zagłuszył słowa mowcy, który pragnął mnie obdarzyć popularnym odczytem z dziedziny domorosłej meteorologii.

Cennym jest wielce nabytkiem kolej żelazna z wielu względów, ale nie dla turysty, który pragnie dokładnie poznać kraj, nasycić oko i duszę urokiem przyrody. Najodpowiedniejsza dla niego podróż *per pedes apostolorum* lub *antiquo more* skarbniczkiem z tłumokiem i obrokiem, zwłaszcza gdy mu nie spieszno i nie depce mu diabeł po piętach. Ale mnie rychło trzeba stanąć u celu. Lokomotywa pomyka niby rumak wiatronogi, znikają Wysoki zamek i strome wzgórza Zniesienia, odsłania się rozległa przestrzeń, na ktrórej dekoratorka przyroda rozsiała góry, sioła, wody, lasy i gaje, oko i myśl w dalekie sięga przestwory. Jak woźnemu Protazemu w „Panu Tadeuszu" woń konopi przywołała do pamięci różne jego urzędu wydarzenia, tak też mnie widok Czartowskiej skały, pola Lesienic, Podborzec, Kamienopola, ich łąki, lasy i moczary, dziś osuszone, obudzały w myśli wspomnienia młodości smutnej i wesołej nieraz barwy. Cała ta okolica prawie bezleśna, z wyjątkiem gór Lesienickich, których łańcuch ostrem zagięciem wraz z końcem sioła, u ich podnóża się wijącego, niby odnoga rzeki, bieży ku głównemu jej korytu, górom Winnickim, stykającym się z pasmem gór karpackich, które ciągną się z zachodu na wschód i stanowią dział wód Bugu i Dniestru. Od dziecka byłem namiętnym myśliwym, szczególnie z chartami. Rozłogi Krzywczyc, Lesienic, Winnik, Podborzec, Kamienopola, Mikłaszowa, Biłki królewskiej i szlacheckiej, a po lewej stronie Pełtwi wsi Barszczowic, Pikułowic, Prus, Żydatycz, Zapytowa, Srok, oto jakoby karty dziejowe, na których zapisane zaprawdę sławne nieraz czyny chartów, należących do mojej rodziny, i ja też dobrze dzwoniłem na to kazanie. Dziś owe wyprawy zwaneby były kłusowniczemi, wówczas nie były one takiemi. Okolica miała wprawdzie dzielnych myśliwych, ale nie na charty, więc dozwalano mnie młodzikowi, jak mawiał ś. p. Matkowski, dzierżawca Mikłaszowa i wyborny w kniei myśliwy, „iskać zające i lisy, których złe losy wywiodły na te pola i łąki". Sąsiedzi wiedzieli, że my charciarze nie polujemy dla pieczeni i handlu, bo zwierzyna szła na ich pożytek, chętnie nam dozwalali tej myśliwskiej rozkoszy. Cała ta okolica równa, w pobliżu Pełtwi moczarowata, śród tych równin wznoszą się wzgórki, jakby kurhany, istotnie szerokie pole dla badań geologów i archeologów. Wszak wspólnie z ś. p. Antonim Sznajderem odkryliśmy tam cmentarzysko, prawdopodobnie z czasów przedchrześcijańskich, bo rozkopaliśmy mogiły, i znaleźli w niej całe kościotrupy jakoteż kości ludzkie spalone i pogrzebane. Takich mogił jest tam dziś jeszcze około 40, z których wtedy rozkopaliśmy 6. Roku 1882 przypadkiem przy wykopywaniu kamieni odkryto na wzgó-

rzu zdala od wsi, w czystem polu, kilka grobów i resztki trumien. Okolica to prawdziwie zajęcza, a i lisów tu dosyć zwłaszcza w zimie, gdy zejdą z okolicznych poza Winnickich, Romanowskich, Świrskich i Chlebowickich gór, odnogi Karpat, ciągnących się wzdłuż Galicyi, wraz z rzeką Dniestrem aż pod Chocim, gdzie się zniżają, a raczej rozpływają w znane światu równiny dniestrowe. Ileż tu lisów moje charty złapały. Właśnie lokomotywa przelatywała koło miejsca, gdzie mi się wydarzył dziwny wypadek. Polowaliśmy z bratem z chartami, była to późna już jesień, zając kotłując zwykle w tej porze na oziminie, pomknął może o sto kroków, a psy poszły za nim, dały mu jeden i drugi obrót i zniknęły za przekopem kolejowym. Byłem pewny, że wzięły zająca, pocisnąłem konia i wnet byłem u przekopu, ale nie znalazłem zająca, a jeden chart zagląda ciekawie w wąski kanalik pod torem kolejowym, więc domyśliłem się, że tym sposobem wykpił się gracz kopyra. Nadjechał brat, ja zsiadłszy z konia zaglądam w ów kanalik wypatrując zająca, w tem słyszę głos brata „heco!“ który w miejscu o cztery kroki upatrzył zająca. W jednej chwili spostrzegam go także w kotlinie, rzuciłem się nań jak z procy i pochwyciłem żywego. Ująwszy za zadnie skoki wiążę je sznurkiem, ale zając młodzik, nie ten, któregośmy szczuli, szarpie się i gryzie mnie w nogę strzyżami. Uczułem ból dotkliwy, alem go nie puścił, krew obficie płynęła z rany, której bliznę do dzisiaj noszę. Któregoż z myśliwych zając tak szkodliwie skaleczył?

Przepraszam za zboczenie i już pędem lokomotywy spieszę do Kutkorza, celu mojej podróży. Stacya Barszczowice! Wypadli z wagonu dwaj żydzi i wloką za sobą ogromny wantuch z betami, który z oszczędności wpakowali między pasażerów, a wrzeszczą jak opętani. Jedziemy dalej — moczary, olszyna, wątła sośnina omszona, to prawdziwy przedsmak Polesia. Aż do samego ujścia Pełtwi do Bugu cała przestrzeń, którą ta rzeka przepływa, dziwną pod względem składu ziemi okazuje niejednostajność, miejscami glinka, rędzina (borowina), to znów piasek widocznie naniesiony, stanowiący kiedyś ławicę rzeki olbrzymiej, jeziora lub morza. Ślady tego pozostały między Lwowem a Kulikowem, zawsze w kierunku od zachodu na wschód, jakoteż na wschodnich i północnych stokach Wysokiego zamku. Wody te musiały być olbrzymie. Jeden brzeg ich łożyska stanowią wzgórza Laszek, Srok, Prus, Pikułowic i Barszczowic, drugi zaś Wysoki zamek, Zniesienie, Krzywczyce, Lesienice, Podborce, Mikłaszów, Biłka. Wsie Kamienopol, Gliniany, w ogóle wszystkie sioła na płaszczyznie tej aż pod Złoczów rozciągającej się, były jednem zwierciadłem wód. Od Barszczowic i Połonic poczyna się więcej leśna okolica, a po za rzekami Pełtwią i Bugiem przechodzi w borową i jest południowym krańcem Polesia. U rzeki Bugu to już nie lasy, lecz prawdziwa tajemnicza i ciemna puszcza borowa. Od Barszczowic począwszy coraz szersze rozlegają się lasy, a kończą się kniejami Zadwórza i Bałuczyna, stąd bowiem na wschód ku Złoczowowi rozpoczyna się okolica opolna, lekko wzgórkowata, z cechą podolską, docierając aż do stóp stromego łańcucha gór tak zwanych Gołogórskich, Woroniaków i t. p. W stronie północnej u Pełtwi i Bugu coraz rozleglejsze i gęstsze szerzą się lasy.

Lecz dosyć już opisu tej dziwnie pięknej i różnobarwnej okolicy. Przeraźliwy świst lokomotywy oznajmił bliskość stacyi Kutkorza, skąd ruszyłem ku staropolskim obyczajem gościnnemu dworowi hrabstwa Łączyńskich. Nie opisuję uroczego Kutkorza, bo to nie zajmie uwagi czytelników czasopisma łowiecko-przyrodniczego, zapraszam ich więc z sobą na przechadzkę nie po wspaniałym parku, otaczającym pałac kutkorski, lecz w lasy i pola. Właściciel Kutkorza hr. Henryk Łączyński zdobył sobie sprawiedliwe uznanie i rozgłos jako znakomity chmielarz i myśliwy. Pomijam chmielarstwo jako nie należące do ram „Łowca“, a będę się starał dać obraz wzorowo prowadzonego łowiectwa. Rozłogi kutkorskiego klucza z wsiami: Kutkorz, Bezbrudy, Bałuczyn, Nowosiółki i Lisko, jakoteż z kilkoma mniejszymi folwarkami, posiadają mnóstwo nie samorodnych, lecz pozakładanych remiz. Składają się one przeważnie z krzewów głogu, tarniny, sakłaku, kruszyny, leszczyny, śród których wznoszą się gdzieniegdzie drzewa wysokopienne. Każda remiza obwiedziona w koło szerokim rowem, raczej fosą, w celu utrudnienia przystępu dla zwierząt drapieżnych czworonożnych. Na skrzydlatych rabusiów, prócz strzałowego za ubicie każdej sztuki, nastawione są potrzaski, z białymi gołębiami na przynętę. Od wiosny b. r. schwytano w nie 9 jastrzębi prawdziwych kuropatwiarzów. Czworonożny drapieżnik tępiony bywa z całą usilnością. W mojej obecności rozkopał leśniczy kutkorski p. Paweł Grzybowski gniazdową norę, i wydobył z niej troje lisiąt. Jak wielką szkodę wyrządzają lisy w zwierzostanie, niech służy jako dowód, że w rozkopanej norze znaleziono trzy świeże jeszcze dzikie kaczki samice, pochwycone zapewne przez liszkę na gnieździe, bekasa, kurkę wodną, głowę zajęczą, jakoteż resztki sarniej łopatki z szerścią i skórą. Pieniężne nagrody za tępienie szkodników pobiera straż leśna, w miarę rangi i liczby ubitych sztuk, pierwszego dnia każdego roku nowego. Do 26. Maja b. r. wynosi stan tego funduszu 155 złr. Jak mnogą jest liczba kuropatw, jawnym jest dowodem, iż w ciągu mego trzechtygodniowego pobytu w Kutkorzu codziennie w innym będąc rewirze leśnym, widywałem na skrajach lasu liczne parki kuropatw, wcale nie płochliwych. Rewiry Kutkorskie i Bałuczyńskie na znacznej swej przestrzeni mają położenie dosyć niskie, miejscami nawet moczarowate, drzewostan mięszany. Podzielone są na sekcye i mioty liniami podłużnemi, a gdzie gąszcz nadto zbita poprzecznemi. Uprzyjemniają one łowy i przyczyniają się do uzyskania większych rezultatów, ułatwiają bowiem dobre rozstawienie strzelców na stanowiskach, co przy dzisiejszych wyłącznie prawie używanych obławach jest rzeczą nader ważną. Przy takiem zarządzeniu nawet w razie małej liczby myśliwych polowanie się udaje nawet w większych miotach, w których można poobstawiać poprzeczne linie, czyli raczej przesmyki. W rewirach niskich albo moczarowatych znajduje sie wiele małych jeziorek, dogodnej pieleszy dla kaczek, których też tam jest niemało. Sarn wedle raportu leśniczego i leśnych, jakkolwiek nie tak dokładnego, jak to czytałem w Kalendarzu „Łowca“ p. sekretarza Towarzystwa myśliwskiego miejskiego, jest bardzo wiele, o czem naocznie kilkakrotnie się przekonałem. Jeżdżąc wierzchem i wózkiem po różnych częściach lasów Kutkorskich każdego dnia spotykałem pojedyńczo chodzących rogaczy lub stadka z trzech i czterech sztuk się składające, wcale nie płochliwe, w czem dowód starannego ich pielęgnowania i oswajania za pomocą lizawek, najporządniej urządzonych, oznaczonych znakami i liczbą porządkową. W zimie stawiają się sarnom stożki siana, koniczyny, wyki, a nawet snopków niemłóconego

owsa. Zakładanie lizawek w różnych stronach miotów nader jest korzystnem, bo przywabia sarny i utrzymuje stale w miocie samym lub w pobliżu jego, ściąga je nawet z dalekich stron, a wiadomo, że sarna chętnie odbywa peregrynacye w porze rui, lub szukając żeru, a osobliwie wody podczas posusznych lat lub mroźnych i nawalnych zim. Zapobiegają też lizawki wielu chorobom, wybuchającym epidemicznie zwłaszcza w miejscowościach moczarowatych. Bydło rogate, sarny, w ogóle wszystkie zwierzęta z rzędu przeżuwaczy, pasąc się na takich miejscach, wyglądają zwykle zdrowo, nawet tuczno, co właśnie dla nich jest zabójczem, bo ulegając chorobie, giną nagle. Któryż z leśników nie znachodził ze zdziwieniem takie martwe, łojne sarny. Tu prezerwatywą są tylko lizawki, dodając w nich sproszkowaną korę wierzbową albo piołun, których gorycz jest przyjemną dla sarn. Dobrym także środkiem ochronnym jest tylekrotnie przez „Łowca“ zalecane drzewo świerkowe, których latorośle chętnie spożywane przez sarny chronią je od chorób. Hr. Łączyński pozakładał w wielu miotach szkółki tych drzew, poobsadzał niemi niektóre linie i drogi leśne. Na każdym kroku znać w kutkorskich kniejach umiejętne i staranne gospodarstwo łowieckie.

Przed kilku laty zaprowadził hr. Łączyński u siebie hodowlę bażantów na wielką skalę w budynku na ten cel w głębi lasów postawionym. Mimo jednak umiejętnego jej prowadzenia, po kilku latach jakaś zaraza zdziesiątkowała tę zarodową bażantarnię. Nie zraził się hr. Łączyński tem niepowodzeniem, zasilił pozostałe bażanty sprowadzonymi z Czech i rozpuścił 40 sztuk po lasach. Według twierdzenia właściciela przebyły bażanty ostrą zimę r. 1883 i tegoroczną łagodną z małym ubytkiem, pozostałe dostatecznie są zahartowane, ma przeto nadzieję, że dzika hodowla lepiej mu się powiedzie, jak sztuczna. Dozorcy leśni mają nakaz wybierać gniazda bażancie, jeżeliby je znaleźli w miejscach zbyt dostępnych i widocznych, a jaja podkładać indyczkom, które do wylęgu lepsze są jak kwoki. Dokładnego rachunku bażantów w tak rozległych kniejach nawet przy tak wzorowo prowadzonem gospodarstwie złożyć niepodobna, prawdopodobnie stan ich jest bardzo dobry, bo spotykałem wiele.

Potrzaski na jastrzębie umieszczone są na wysokich słupach, szczególnie w miejscach bażanciej pieleszy. Taka staranność dla bażantów niezbędnie jest potrzebną, bo ptak ten mimo dzikości i płochliwości jest nader nierozważnym, łatwą przeto staje się zdobyczą drapieżników.

Kłusownictwa w Kutkorzu wcale nie ma, co jest ogromną zasługą hr. Łączyńskiego.

Dziki w lasach kutkorskich stale się nie utrzymują. Wilków od dawna tam nie widziano. Zajęcy jest wiele w skutek starannego tępienia lisów. W tej chwili mają się tam znajdować jeszcze dwa gniazda, które straż leśna szuka i wytępi. Niestety, sąsiedzi nie wspierają usiłowań hr. Łączyńskiego w wprowadzeniu u siebie racyonalnego łowiectwa. Co do tępienia drapieżnych skrzydlaczów, mimo wziętych wzorów na potrzaski, nie idą za jego przykładem. Przy takiej obojętności całej sąsiedniej okolicy, starania hr. Łączyńskiego muszą być płonne.

Polowania błotne i wodne na rozległych i moczarowatych łąkach brzegów rzeki Pełtwi świetne zapewne wydają rezultaty, już samo bowiem tępienie szkodników każe wnosić, że ród bekasi i kaczy mnogo się tam rozradza.

Oto szkicowy obraz myśliwstwa kutkorskiego, nie panegiryk to, lecz szczera prawda. Należy się hołd czci i uznania hr. Łączyńskiemu za ład wzorowy i rozumne gospodarstwo, jakie w gałęzi łowieckiej wprowadził i tak wytrwale utrzymuje.

Strzały i Strzelcy.

PRZEZ

Ernesta Bellecroix.

(La chasse illustrée 1883 tł. J. Ł.)

Nieraz już od lat kilku, a nawet teraz, niektórzy z abonentów naszego pisma, przesyłali mi mnogie zapytania w kwestyi strzałów. Trzebaby być nader zręcznym, aby na nie stosownie odpowiedzieć. Jedni zapytywali, ażali lepiej strzelać z obojem okiem otwartem, lub z jednem zamkniętem, który z tych sposobów daje więcej prawidłowości w mierzeniu? Inni pragnęli wiedzieć, co jest odpowiedniejszem, chwytanie strzału czy prowadzenie zwierza? Znowu inni chcieli mieć odpowiedź, czy trzeba strzelać w chwili, gdy zwierzyna się pojawi lub zrywa, albo czy odpowiedniej chwilę wyczekać, aby poznać kierunek jej pochodu i strzelać, gdy już idzie w tym kierunku. Naturalnie uchyliłem się od odpowiedzi. Zapewne przyznacie, iż niepodobna odpowiadać na tyle zapytań i zechcecie się dowiedzieć, jakem się z tego wywinął. Nie inaczej, jak opowiadając to, com sam widział, jeżeli nie czynił, a czytelnik wywiedzie z tej opowieści, nie mającej wiele pretensyi, wyniki, jakie mu się będą podobać.

Prawdą jest, że strzelanie polega na instynkcie i praktyce. To twierdzenie jest tak prawdziwe, iż nader rzadko ujrzycie myśliwego polowego w ten sam sposób strzelającego jak myśliwy leśny, myśliwego polującego wyłącznie z wyżłem tak, jak myśliwy przywykły tylko do pogonki. Jeden i drugi mają swoje właściwości, a ten, któryby zebrał w jedną całość te różnorodne właściwości, byłby półbożkiem w naszej sztuce. Patrzcie na myśliwego w polu i na błotach, przeważna większość tych zręcznych praktyków ma zwyczaj prowadzić zwierzynę, znajdują oni ją mniej lub więcej szybko na celu w miarę, o ile mniej lub więcej są wprawni, ale prowadzą zwierzynę zawsze lub prawie zawsze. Jeżeli w tym względzie są jakie wyjątki, to znajdziecie je między myśliwymi na kszyki. Sam widziałem strzały niesłychanie szybkie. Jedno wszakże uderzało mnie nieraz, iż owi zręczni myśliwi, gdy odbywali praktykę swoją tylko w polu i na błotach, bezwzględnie stawali się niezręcznymi w lesie, gdy się zdarzyło, iż byli zaproszeni na polowanie z obławą, gdzie zwierzyna w znacznej liczbie się pojawia, nie umieli sobie dać rady. Jeżeli szło tylko o bażanty, to po pierwszem wzruszeniu wcale zaszczytnie wywiązywali się z swego obowiązku, ale królik, prosty królik zupełnie ich zbijał z tropu, zdawali się rzeczy wcale nie rozumieć, a nie kapryśne ruchy tego powabnego zwierzęcia ich niepo-

kolły, ale gałązki i krzewy, które co chwila osłaniały zwierzynę. Przyzwyczajonych zawsze do strzałów w miejscach otwartych, widziałem ich trzymających strzelby przy ramieniu, wyczekujących, aż zwierzyna cała się odsłoni, chwiejnych w lada zapuście, śród paproci, szukających sposobności powetowania czasu straconego bezskutecznie, bo zwierzyna umknęła tymczasem. Myśliwy leśny byłby już kilka razy strzelił swobodnie. Spostrzegliście zapewne już nieraz sami, że ten myśliwy osięga najlepszy rezultat, który najwięcej strzela, naturalnie ze strzelb doborowych, inne nie wchodzą tu w rachunek. Pewien znakomity dowódzca rzekł, że zwycięstwo przechyla się zawsze ku licznym batalionom, tak się też dzieje na łowach, im częściej się strzela, tem więcej się bije. Nieraz słyszałem o wybornych strzelbach myśliwskich, rzadko chybiających, a jednak nie mało brakowało, iżby ci, których chwalcy tak wysoko wynosili, mogli się nazwać strzelcami pierwszego rzędu. Myśliwy przywykły widzieć wiele zwierzyny, strzelać często, dochodzi wnet, chyba że nie posiada warunków po temu, do znakomitej wprawy. Dlaczego tylu myśliwych chybia nawet przy łatwych strzałach? Bo pojawiająca się zwierzyna wywołuje w nich mocne wzruszenie, bo chybienie jej drażni ich nadzwyczajnie, nabawia drżenia od stóp do głowy. Te wzruszenia ustępują wraz z wprawą, a pomiędzy mymi zwykłymi towarzyszami w wyprawach myśliwskich mógłbym wskazać dwudziestu, którzy na widok zwierzyny tak są chłodni, jak gdyby patrzyli na obelisk. Gdy myśliwy doszedł już do tego punktu, że nie traci przytomności i umie nad sobą zawładnąć, wtedy już może swobodnie wybierać przedmiot dla swego strzału, strzela tylko do czego chce, wszystko inne przepuszcza. Proszę przyłączyć do tego zręczność, którą się nabywa praktyką, a wtedy łatwo zzozumieć, iż niektórzy myśliwi chybiają tylko wyjątkowo. W istocie rzadko jaka sztuka ujdzie ich celnemu strzałowi. Lecz owi wzorowi i chłodni strzelcy obserwowani przy obławach, przy których wiele zwierza się pojawia, przepuszczają połowę nawet łatwych strzałów, strzelają tylko na pewne; nie ganię ich za to, konstatuję tylko, że dla nich inne warunki są odpowiednimi.

A teraz przypatrzcie się owym sławionym z zręczności strzelcom przy obławach i osądźcie różnicę w strzałach. Niektórzy z nich doszli do wprawy istotnie cudownej. Każda sztuka zbliżająca się do nich pada martwa, choćby bieg jej był najszybszym, a przeszkody największe, każdy pojawiający się królik otrzymuje strzał jeden lub dwa, jeżeli pierwszy chybiony, najlżejszy szmer, najmniejsze ugięcie trawy, lada drobnostka jest dla nich wskazówką, aby się przygotować do strzału. W jednem mgnieniu oka strzelba jest na nowo nabitą, a strzelec gotowy do ponowienia strzału. Szybkość tu zadziwiająca. Przeciwnie upewniam, iż można owym myśliwym znakomitym, przywykłym do pewnego strzału, dać nawet dwie strzelby najwyborniejsze, a wyjątkowo i rzadko strzelą oni powtórnie do chybionej pierwszym strzałem zwierzyny. Dzieje się to właśnie z tego powodu, że ci znakomici strzelcy strzelają zwykle z niesłychaną precyzyą, co już nie podlega rozwadze, nie wyczekuje się zwierzyny, strzela się do niej, gdy się choćby jak strzała pojawi, a ona pada martwa. Strzał tu jest rodzajem intuicyi, złożenie się, strzał, śmierć zwierza jest dziełem jednej chwili. Niejeden z naszych czytelników podziwiał w Folies Bergère Irę Paine, który wyjąwszy z kieszeni dwie kule szklane, wyrzucał je i rozbijał w jednej chwili dwoma strzałami. Taką zręczność posiadają też niektórzy myśliwi. Znałem ich wielu, widziałem leśniczych nie chybiających żadnego królika.

Jest rzeczą pewną, iż kto wybiera sobie sztukę na strzał, kto nie strzela na niepewne, w innych zupełnie przedstawia się warunkach, jak ów, o którym właśnie mamy mówić. To jednak jest rzeczą niezawodną, iż jeden czyni to, czego drugi dokonać nie zdoła, i że co do liczby myśliwi chłodni i wzorowi pozostaną zawsze w mniejszości. Czy to na polowaniu z obławą, czy z wyżłem, w warunkach wszakże równej zręczności, jest rzeczą pewną, iż ten, który nic nie przepuści bez strzału, będzie miał przewagę nad swym przeciwnikiem. Szybkość strzału przy wielkiej zręczności, jest zaletą niezaprzeczoną. Zresztą jakżeż owi myśliwi polujący z obławą, przyzwyczajeni do spotkania z nader liczną zwierzyną w okolicy Paryża, nie mają dojść do nadzwyczajnej wprawy. Polują nieustannie od otwarcia do zamknięcia pory łowieckiej, resztę czasu spędzają na strzelaniu do gołębi, strzelby nie wypuszczają z rąk, tysiące zużywają nabojów, składanie się, zmierzenie, strzelanie staje się u nich rzeczą mechaniczną, przy obławie nie dopuszczą bażanta do dosięgnienia gałęzi, gołębia biją, gdy zaledwo się poderwał. Tak więc ciągle polując, widząc niezliczoną liczbę zwierzyny, strzelając niemal codzień od rana do wieczora, jakżeż nie mają nabyć zręczności nieporównanej. Czyż sądzicie, iż myśliwy polowy, bijący w pomyślnym roku ze dwadzieścia zajęcy, może się równać z tym, który w tymże czasie i w warunkach najrozmaitszych, w polu, w lesie, na błotach, z obławą, z wyżłem, zabija dwa lub trzy tysiące sztuk zwierzyny, nie licząc naturalnie gołębi, które bije od rana do wieczora? Ile się czasem bije na polowaniach, jest rzeczą zaprawdę nie do uwierzenia. Pewnego poranka — było to w majętności F., gdzie byłem zaproszony na polowanie — wyruszyliśmy o 8mej rano w kilku myśliwych. Mieliśmy o 11tej powrócić na śniadanie. Szło więc o zajęcie kilku miotów w ciągu tych trzech godzin. „Wiele wziąć z sobą nabojów?“ — zapytałem nadleśniczego. „Niech pan weźmie setkę“ — odrzekł — „sądzę, że ona wystarczy.“ Włożyłem więc ową setkę na wóz myśliwski, który za nami podążał, prócz tego pięćdziesiąt miałem przy sobie, a w ostatnim miocie byłem zmuszony pożyczyć u sąsiada. Wystrzelałem przeto w jednej godzinie (odliczywszy resztę czasu na stawianie myśliwych itd.) więcej jak 150 nabojów, a właściwe łowy rozpoczęły się dopiero po południu. Przypuśćcie więc, iż myśliwy poluje w ten sposób trzy lub cztery razy w tygodniu, i zliczcie mnogość nabojów, które wystrzela przy końcu pory łowieckiej. Gdyby tym strzałom nie towarzyszyła nadzwyczajna zręczność, to przyznacie, że zapał łowiecki wnetby się ostudził.

Przed piętnastu niemal laty jeden z moich przyjaciół, myśliwy wytrawny i strzelec znakomity, zapytał mnie: „Czy strzelając zamykasz jedno oko?“ Wahałem się przez chwilę z odpowiedzią, uważając to zapytanie za żart, w owym czasie anim sobie wyobrażał, że można dobrze strzelać z obu oczami otwartemi. Myliłem się. Prawie wszyscy strzelcy, o których mówiliśmy, posiadający ową szaloną szybkość, o jakiej pragnąłem dać wyobrażenie, prawie wszyscy, jeżeli nie absolutnie wszyscy, strzelają z obu oczami otwartemi, a jeden z nich mówił mi raz, że zamykać jedno oko znaczy tracić czas. To wyrzeczenie zdało mi się zawsze być wielkiej wagi. Ja, człowiek dobrej woli, próbowałem nieraz strzelać z otwartemi oczami, nigdym tego dokonać nie zdołał. Mimowolnie zamykałem zawsze lewe oko w chwili złożenia się. Czy to dobrze, nie chcę rozstrzygać, ta wstrzemięźliwość moja niech będzie usprawiedliwioną tem, żem miał przyjemność nieraz na polowaniach spotykać się z strzałami wyjątkowymi, które mnie wiele nauczyły. Pewnego dnia polowaliśmy z nagonką, posta-

wiono mnie między księciem B. i markizem X. Książę strzelał z jednem zamkniętem okiem, markiz z oczami otwartemi, jeden i drugi znakomitymi byli strzelcami i składali się niesłychanie szybko. Mnóstwo było bażantów. była to jakoby nieumówiona walka między tymi myśliwymi, z których jeden i drugi pragnął odnieść zwycięstwo. Strzały padały bez przerwy, słudzy zaledwo zdołali zdążyć w podawaniu nam nabitej broni, a w kilku minutach strzelaliśmy śród obłoków dymu. Bażanty padały w około nas, a moi dwaj zręczni sąsiedzi współzawodniczyli w istocie w zręczności i szybkości. Niepodobna orzec, który z nich miał przewagę w tej rywalizacyi, liczba bowiem zdobyczy była po obu stronach prawie równą. Zresztą należy też wziąć na uwagę, że gdy myśliwi stoją od siebie oddaleni o jakie 20 metrów, zdarza się, iż zwierzyna strzelana na stanowisku, nie pada na miejscu z dymem, lecz nieco dalej na prawo lub lewo, a w takim razie trudno rozsądzić, kto ją zabił, zresztą niejedna sztuka pada po za linią. Gdy się strzela jednocześnie gęsto, najlepszym, a może jedynym sposobem skonstatowania trafnych strzałów jest dodanie myśliwym sprawdzacza *(marqueur)*, który notuje sztuki w chwili spadania. Zwierzyna, którą bez takiego sprawdzacza po przepędzonym miocie się zbierze, nic nie stanowi, czego dowodem, że nazajutrz po polowaniu, gdy straż leśna rewiduje mioty wczoraj gonione, znajduje zawsze znaczną liczbę zwierzyny, której z jakiejkolwiek przyczyny nie znaleziono przy pierwszem poszukiwaniu. Wracając do naszych dwóch współzawodników, dochodzę do celu mojej opowieści, mianowicie, że obaj w tym miocie o jedną trzecią część więcej wystrzelali nabojów jak ja, a moje stanowisko wcale nie było gorszem, ale oni składali się nierównie szybciej. Oto przykład, z którego najlepiej mogą wnioskować ci, którzy mnie zapytywali, ażali lepiej jest strzelać z jednem okiem zamkniętem, lub z oczami otwartemi Prawdopodobnie przeważna ich część wytrwa w swem przekonaniu i strzelać będzie według swego zwyczaju, a ja sumiennie mogę zapewnić, że bezwzględnie słusznie uczynią.

Nie chciałbym, iżby to, com powiedział o korzyściach strzelania z niezmierną szybkością, przyjęte było w znaczeniu absolutnem. Nie więcej, jak każdy z czytelników. podziwiam owych strzelców, którzy strzelają na każdą odległość, jakby na los szczęścia, byle tylko jak najwięcej strzelać, często bez względu na wymagania uprzejmości, którzy twierdzą, że im gęściej się strzela, tem więcej się zabija, i że przy zakończeniu polowania szybko strzelający w każdym razie pomyślniejszym rezultatem pochlubić się będą mogli. Gdy mówię, iż dobry strzelec o tyle więcej zabije, o ile więcej zużyje nabojów, to myślę o takim myśliwym, który nie strzela na hazard, lecz tylko do zwierzyny, pojawiającej się istotnie na strzał, a podziwiam nadzwyczajną szybkość w składaniu się tylko wtedy, gdy ona daje rezultaty. Na myśliwym strzelającym na wiatr w nadziei ubicia jednej sztuki na cztery, nic mi nie zależy. Chciałem tu tylko skonstatować, że myśliwy składający się szybko więcej ubije zwierzyny w warunkach normalnych, jak przyzwyczajony brać dokładnie na cel. Jedna kwestya natrąca się tu naturalnie. Czy równie strzelać należy do królików jak do ptactwa, do bażantów, kuropatw, słonek? Według mego przekonania zależy to od okoliczności. Zdarza się w istocie, że nie można strzelić do zjawiającego się przed nagonką bażanta, zwłaszcza gdy gałęzie drzew jeszcze nie są pozbawione liścia, lub gdy stanowiska myśliwych są na wąskiej linii, wtedy ptak zaledwo się pojawi, już znika; w takim razie wysyła się z konieczności strzał na przepadłe, albo wcale nie strzela. Toż samo się dzieje, gdy słonka ciągnie i kryje po za gałęziami, tak też w wielu innych podobnych wypadkach. W takim razie ma niezawodną przewagę myśliwy przyzwyczajony do strzałów szybkich. Mamże jeszcze wreszcie mówić o tem, że należy zawsze strzelać do ptactwa tak jak w lesie do czworonożnej zwierzyny? Nie sądzę. Według mego skromnego zdania najlepszym myśliwym jest ten, który stosuje swe strzały do okoliczności, który ściąga cyngiel, skoro przyłożył strzelbę do ramienia, gdy królik zaledwo wychyli się z gęstwiny, a który po chwili wolno prowadzi koguta kuropatwę lub bażanta, gdy ciągną w miejscu odkrytem. Kiedy w obu wypadkach osiągnie pomyślny rezultat, może się nazwać wybornym myśliwym. Nie jest rzeczą stwierdzoną, przynajmniej według mego zdania, że byłoby korzystniej zapewnić strzał prowadzeniem zwierzyny. Niestety, na wszelkich leśnych polowaniach zachodzą różne trudności, które owego prowadzenia nie dopuszczają, gdzie trzeba się złożyć, wziąć na cel i strzelić w przeciągu jednej sekundy pod grozą utracenia strzału. Przy takich trudnościach, zwłaszcza na łowach bogatych w zwierzynę, okazuje się przewaga strzelców szybko się składających.

Zmieńmy teraz scenę działania, zamiast w lesie polujmy w polu i postawmy sobie przed oczy strzelca wielce zręcznego i niesłychanie szybko składającego się, a obok niego innego, równie zręcznego, ale przyzwyczajonego od dawna do strzelania swobodnego i prowadzenia zwierzyny. Jeżeli oni polują w niejakiej odległości od siebie, każdy dla siebie, to niezawodnie obaj osiągną mniej więcej jednakowe rezultaty, szybki strzelec przewyższy tamtego chyba ze względu na dalekość strzału, bo strzeli on nawet do zbyt już odległej zwierzyny, którą współzawodnik jego, jako nie mogącą być dosięgnioną, niezawodnie przepuści. We wszystkich innych wypadkach, czyli przy każdej zwierzynie, pojawiającej się na strzał, przypuszczając naturalnie równą zręczność u strzelających, rezultaty będą te same. W jednym wypadku nie ręczyłbym za skutek, mianowicie gdyby dwaj współzawodnicy razem stojąc, do jednej strzelali sztuki, w takim razie szybkość w złożeniu się miałaby przewagę. Trzeba jednak wyznać, że owa wielka zręczność i nadzwyczajna szybkość rzadko w jednym myśliwym się łączą. Zwykle pojawia się precyzya strzałów u myśliwych chłodnych, którzy zawsze wytrzymują i spuszczają cyngiel tylko na pewne, a sądzę, że prócz wyjątków, które oznaczyliśmy i którym oddałem należną cześć, większa część strzelców, przyzwyczajonych do szybkich strzałów, precyzyą się nie odznaczy, w jednym dniu ujrzymy ich strzelających wybornie, nazajutrz chybiają nieustannie raz po raz do zwierzyny, którą niezawodnie ubiłby myśliwy, przywykły do prowadzenia jej. Jeszcze raz zapewniam, a niektórzy z czytelników naszych zrozumieją, do kogo to stosuję. że to, o czem tu chcę mówić, nie ubliża wcale precyzyi strzałów pewnych wyjątkowych myśliwych, przywykłych do spuszczania cyngla wraz z złożeniem się. Jakoż znam strzelców, w polu czy w lesie, którzy się odznaczają zarówno szybkością jak precyzyą strzałów, sądzę jednak, że to są rzadkie wyjątki. Największa liczba myśliwych, chwytających strzały, są ci, których zowią zwykle „codziennymi“. W każdym razie jednak głównie w lesie znaczy się przewaga pochwytnych strzałów. Zwrócono na to moją uwagę. sam też nieraz dostrzegłem, że myśliwi strzelający na każdą odległość, bez względu na oddalenie i uprzejmość, wyrządzają zwierzynie znaczną szkodę, nie osiągnąwszy rezultatów odpowiednich do wystrzelanych nabojów. Zaiste jest to niezaprzeczoną prawdą, a co do pomyślnych skutków polowania wieleby się dało w tym względzie powiedzieć. Ale należy po słuszności nadmienić, że tacy myśliwi są zwykłymi gośćmi naszych wię-

*

kszych posiadaczy, lub też sami wielkimi posiadaczami, i że jedni jak drudzy zwykle się chlubią liczbą strzałów. a im większą jest ona, tem większe ich zadowolenie. Najczęściej, ponieważ królik jest ofiarą tej rozkoszy gęstego strzelania, nie troszczą się ci panowie o pokaleczonych, ginących w dali. Szkodliwymi są tacy myśliwi równie w lesie jak w krzakach. Zgubniejszą jeszcze jest taka wielka liczba hazardowych strzałów, gdy się poluje na króliki i bażanty. We wszystkich polowaniach, w których brałem udział, widziałem strzelane i kaleczone w ten sposób bażanty, przynoszące pożytek chyba zwierzętom drapieżnym, jakoż znajdowano nieraz później resztki ich.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYE.

Podkamień, 1. Czerwca 1884.

Nastała teraz dla nas myśliwych istna pora ogórkowa. Strzelba wisi na kołku, a wierny wyżeł, bezczynny na gazonie wyciąga się na słońcu i nudzi się okropnie. Słusznie też twierdził raz pewien humorysta myśliwy, iż legawe psy powinneby na zimę odlatywać do ciepłych krajów w towarzystwie kszyków i dubeltów.

Niepamiętam w jakim starym kalendarzu wyczytałem wiersz na Czerwiec:

Tu myśliwy
Jak nieżywy
Sianożęcią wciąż zajęty,
Daje knieji pokój święty.

W tym wierszu zamyka się cała nasza teraźniejsza dola. Ptactwo zajęte lęgiem, a na straży jego stoi ustawa, więc cisza na polach i w lesie. Jeden tylko słowik niezważając, że św. Wit milczeć mu już każe, jakoś jeszcze zawzięcie w krzewinach wywodzi swoje trele. Miły to bardzo może być ptak dla poety, ale wyznaję, że jako myśliwy o wiele wolę spiew głuszca, cietrzewia, a nawet i chrapanie słonki. W tej najsmutniejszej dla nas porze roku zapewne i u Sz. Redakcyi „Łowca“ nieobficie pojawiać się muszą artykuły, opisujące świeżo odbyte szczęśliwe łowy, chyba kto z braci w św. Hubercie do odleglejszych powróci wspomnień i takowe skreśli. Ja w zeszłym miesiącu posłałem sprawozdanie o moich skromnych wiosennych polowaniach na słonki, a później na głuszce, zamilczałem wszakże o jednem polowaniu, w którem tej wiosny uczestniczyłem, a to o polowaniu na jelenia ze skrawkami (Schnitzel-Jagd) we Lwowie. Nieposiadając tak znakomitych wierzchowców, jak to polowanie wymaga, a co gorsza już ani potrzebnej do tego ruchliwości, ani energii młodzieńczego wieku, jako stary myśliwy, podobny do owego starego furmana, który bicze kręci, wynalazłem na to sposób, który się okazał nader praktycznym, oto polowałem na tego jelenia na zasiadkę. Niewyjeżdżdjąc w południe na plac św. Jura, by gonić z myśliwymi i psiarnią skrawkami farbującego jelenia gdzieś za janowską i gródecką rogatkę, jechałem o godzinie 5. fiakrem do Kasyna, gdzie zmęczony jeleń regularnie na żer podążał po odbytym gonie i tam przy obiedzie złapałem go zawsze, co się nie zawsze psom i myśliwym udawało. Ten jedyny sposób polowania zalecić mogę tym wszystkim, którym lata i siły nie dozwalają już inaczej brać udziału w tej szlachetnej zabawie, którą wszelką winniśmy otoczyć sympatyą, bo ona wskrzeszać zaczyna w chylącej się ku zniewieściałości młodzieży rycerskiego ducha naszych przodków.

Nie mogąc w tej chwili oczywiście donieść żadnych sprawozdań łowieckich, ograniczyć się muszę na opisaniu dwóch zdarzeń, które stoją w związku z myśliwstwem, a osobliwie z tak pożądanemi zmianami w naszej ustawie łowieckiej, która z wielu jeszcze względów jest wadliwą. Nowo zawiązana w tym celu komisya zająć się ma tą sprawą, i z pewnością istniejące niedokładności poprawi. Byłoby niezawodnie pożądanem, by mniej się zajmowała ochroną tych przyciągających do nas przybyszów z cieplic zamorskich, przybyszów, których coroczne do nas odwidziny od kaprysu wiatrów zawisły. Skoro w tym względzie nie istnieją międzynarodowe prawa, ochrona tego ptactwa, a mówię tu przeważnie o słonkach, jest tylko grzecznością dla naszych sąsiadów, którzy u nas chronioną zwierzynę bezkarnie zabijają. Raczej wartoby otoczyć większą jeszcze opieką stale zamieszkałych czworonożnych obywateli tego kraju, z lotnych stale tu przebywające głuszce, cietrzewie, jarząbki i kuropatwy, a przedewszystkiem ogłosić krucyatę przeciw ich tępicielom dwunożnym, czworonożnym i skrzydlatym. O tych właśnie ostatnich miałem mówić. Tej wiosny przechadzając się po polach ujrzałem siedzącego na ziemi myszołowa, czystej wody lagopusa, zajętego smacznem śniadaniem. Ten dobroczyńca ludzkości, jak nam w to wierzyć nakazuje ustawa, nic innego prócz myszy oczywiście spożywać nie mógł. Ufny w prawo, które go ochrania, nie zważał wcale na mnie i dał się blisko podejść. Zanadto wielką i zanadto szarą wydała mi się ta mysz dobroczyńcy i wyznaję w pokorze, iż nie przez uszanowanie dla ustawy nie strzeliłem do niego, ale dla braku palnej broni. Ptak się zerwał nareszcie, ale swą zdobycz zostawił. Jakież było moje zdziwienie! Oczom wierzyć nie chciałem, gdym się przekonał, że ta mysz była najprawdziwszym zajączkiem marczakiem, któregoby z pewnością sam Brehm zaliczyć musiał do rodzaju: *lepus timidus*. Szczerze żałowałem, żem wyszedł bez strzelby, bo czyż nie należało tego winowajcę ukarać choćby za to tylko, że kłam zadaje wiedzy i ustawie? Nie przeczę, że ten żywiący się samemi myszami poczciwiec, gdyby zawezwanym został do odpowiewiedzialności i stawił się przed areopagiem ornitologów, ostatecznie z tego występku potrafiłby się wykłamać, zaręczyłby słowem, iż będąc obdarzony bardzo ciężkim lotem, sam zbrodni nie popełnił, i tylko przypadkiem znalazł się na zwłokach zająca, zamordowanego poprzednio przez jakiegoś jastrzębia, kruka albo lisa, słowem wykręciłby się pewnie, jak niejeden oszust albo zbrodniarz, który ma protekcyę.

A teraz zdarzenie drugie: Wypatrzyłem przy samym ogrodzie kuropatwę siedzącą na gnieździe. Ptaki to dość rzadkie w mojej okolicy, cieszyłem się więc nadzieją wychowania na pewne, choć jednego stadka. Raz w samo południe usłyszałem w tem miejscu ciągłe skrzeczenie srok, idę tam ze strzelbą i widzę dwie sroczki, które około gniazda kuropatwy skaczą i skrzeczą ustawicznie. Za zbli-

żeniem się mojem odleciały i siadły na drzewie. Przyszedłszy do gniazda, z największym żalem ujrzałem wszystkie jaja potłuczone, a białka i żółtka wypiły sroki, zapewne dla odświeżenia sobie głosu, jak to czynią spiewaczki w operze. Wprawdzie do kilku minut już obie sroki nie żyły, ale lęg kuropatw przepadł. Doniosłem o tem, by polecić naprzód myszołowa łasce tych panów, którzy się zajmują reformą ustawy łowieckiej, a sroki wszystkie pamięci tych myśliwych, którzy hodują kuropatwy.

Leopold hr. Starzeński.

Z wiosennej wycieczki w góry. „Ustrzyki, dwie minuty!“ woła konduktor kolei Łupkowskiej. Żywo zabieram moje podróżne utensilia, przesiadam się na górski wózek, ciągniony przez parę dziarskich, górskich koników i ruszam ku górom właściwym, które rozpoczynają się dopiero po drugiej stronie górzystego pasma, zwanego Żukowem. Z tej przyczyny szlachta mieszkająca po tej stronie Żukowa zowie siebie *cis*, — sąsiadów zaś swoich zażukowskich *transżukoviensis*. Jednem słowem Żukow stanowi tu rodzaj Rubikonu, i ktokolwiek pragnie dostać się do właściwych gór, tego prawdziwego raju dla myśliwych, musi przebyć a raczej przekroczyć ów Żukowski Rubikon. Ze szczytu Ustyanowskiego Żukowa znajdzie entuzyasta wspaniałe widoki w dali siniejących gór Magóry i Otrytu, stanowiących odnogę właściwych Karpat-Beskidów, z którémi stykają się bezpośrednio. Myśliwy z rozkoszą pasie oczy widokiem kniei, pachnących zwierzyną czworonożną i skrzydlatą. W okolicy Magóry i Otrytu przebywa już gruba królewska zwierzyna, w tej zaś dosyć sarn, zajęcy i lisów, a byłoby ich jeszcze więcej, gdyby nie stało dwu- i czworonożnych rabusiów. Skrzydlatej zwierzyny, a szczególnie jarząbków w lasach bukowych i zaroślach leszczynowych bywa wiele, a po działach czyli wzgórzach zarośniętych krzakami jałowcu, mnóstwo. Jak długo magórskie, otrytowe lub beskidowe działy pokryte śniegiem, kwiczoły, drozdy i paszkoty chmarami, jak się tam wyrażają „pantrują“ t. j. szukają żeru na niższych, niepokrytych już śniegiem działach, mianowicie jagód jałowcowych dojrzałych, kolorem podobnych do śliwki i jak ona zabarwionych bladobłękitnym pyłkiem.

Przybywszy do Teleśnicy, zamyślałem, o ile pogoda kwietniowa pozwoli, polować na słonki, których na wieczornym ciągu widziałem trzy, ale nie strzelałem do nich i ostatecznie polowałem na kwiczoły i paszkoty. Mały góralik Waśko służył mi za wyżła, wynajdował ubite, w gąszczu kolącego jałowcu zapadłe ptaki i napędzał na moje stanowisko, a czynił to znakomicie, bawiąc mnie zarazem swoją naiwnością. Biedny to był chłopiec i głodny, jak zwykle na przednowku, straszniejszym w górach, odziany jakąś nędzną płachciną po płóciennem ubraniu, bosy ale czupurny, ale dziwnie wytrwały. Po każdym trafnym strzale lśniły mu bystro źrenice, jestem pewny, że będzie z niego kłusownik. Opowiadał mi smutne dzieje swego sierocego życia, oraz psoty, jakie on i jego towarzysze pastuchy wyrządzali skrzydlatej i czworonożnej zwierzynie, jak to oni wybierali z gniazd sroki, wrony, dyki kury (kuropatwy), perepełyci, jakoteż jaja ich. „Najlipszyi spłuszki“ (zające), mówił, których szukają po zbożach. Jedyna to dla nich pożywniejsza strawa w porze, gdy nie ma nawet kartofli. Najcięższy przednowek dla górali przypada w porze kwitnienia bobu, stąd tam urosła przypowieść!

Koły cwyte bib,
I kropywa — chlib.

Pokrzywą często żywi się na przednowku góral. Mieszkańcy gór samborskich dodają jakby na pociechę:

A jak gajdy (kartofle) w horodi,
Hołodowy uż hodi.

Łatwo zrozumieć, dlaczego mimo usilnych starań pomnożenia zwierzyny, stan jej się zmniejsza. Dowiedziałem się też od Waśka, jak „nekotri gazdy zastawlajut w pańskim lisi stupyci“. Z powodu zawiłej komplikacyi trudno opisać tę prymitywną, ale straszną samołówkę. Stokroć ona groźniejsza jak wszelkie żelazne samołówki, nastawiane na powierzchni ziemi. Do nastawienia stempicy potrzeba dwóch ludzi, bo ono jest trudne i mozolne, zwłaszcza gdy się nastawia sztuk kilkanaście. Jeden i to silny człowiek „rozwodzi spruży“, rodzaj sprężyn z dwóch laskowych drążków, trzy lub więcej cali długich, dwa cale grubych w miarę długości stempicy; drugi wstawia pomiędzy „dwerci“, rodzaju drzwiczek, chodzących na biegunach i stanowiących właściwy przyrząd do chwytania, płaską, około pół łokcia długą deseczkę, zwaną ,,kopyścią“. Tak nastawiona stempica umieszcza się na ścieżynkach, przy potokach, w ogóle tam, którędy zwierz chętnie chodzi. Tej drewnianej samołówki, zagłębionej w rowku wygrzebanym w ziemi, zwierz ani zwietrzy ani dostrzeże, i każde z nich, zając, lis, sarna, jeleń chwyta się. Najlżejsze naciśnienie kopyści wywołuje gwałtowne zapadanie drzwiczek, które chwytają zwierzę a nawet człowieka jakby w kleszcze, z których bez pomocy wyswobodzić się nie może. Wilk, lis, kuna chwyciwszy się za jedną nogę, odgryzają ją i uchodzą, niedźwiedź, na którego nastawia się stempica wielkich rozmiarów, wyrywa ją z ziemi i pomyka, ale zwykle bywa wyśledzony i ubity przez kłusowników. Jak silnem jest ciśnienie chwytów czyli drzwiczek, przekonałem się sam, gruby nawet kół nie zdołałem mimo użycia całych sił wyjąć z nich inaczej, jak rozwiedzeniem sprężyn leszczynowych. Opowiadano mi tam, że przeszłego roku chwycił się mały pastuszek w stempicy, która mu zgruchotała kość. W marcu b. r. zdarzył się podobny wypadek. Pewien gazda wywiózł dużą kupę oborniku na pole dosyć od wsi odległe. Mając ją rozdzielić na małe kupki udał się tam i spostrzegł ogromnego wilka spiącego na kupie gnoju. Powtórzyło się to przez dwa następne dnie. Nastawił więc stempicę. Nazajutrz nie znalazł ani stempicy, ani wilka, który chwyciwszy się powlókł ją w las. Odszukał po kilkudziesięciu krokach w gąszczy stempicę pogryzioną, z której tym sposobem zdołał się wilk wyzwolić. Kałuża krwi kazała wnosić, że wilk z tej biedy nie łatwo się wyliże. Według twierdzenia chłopów, należał ów wilk do stada, złożonego z 8 sztuk, które w zimie b. r. buszowało w tej okolicy, znaczne czyniąc szkody w zwierzynie, trzodach i psach. Cztery sztuki z tego stada udało się hr. Bül..., właścicielowi Polany, struć strychniną, reszta włóczyła się koło Teleśnicy sannej, Sokolego, Chrewty, Horodka i Soliny, osobliwie basiur w stempicy schwytany, któremu wedle twierdzenia małego Waśka ,,zabachło sia (zachciało) pokuszaty sobaczoho miasa, a chwatywszy mału sobaczku Muszku we dwori w Tełesnyci, tak sia na to to znadyu (znęcił), że wziau w Sokolim try, a w Tełesnyci

czetyry sobaki. Nema tomu try nedili wziau dużoho psa u gazdy Kołcuna". Owego psa znałem, był ogromnych rozmiarów, czarny, kudłaty i zły niesłychanie. Nie trzymany na uwięzi mnóstwo ludzi kaleczył, a w zajadłej zaciekłości chwytał zębami koła jadących wozów. Roku 1880 jechałem saniami pod samą zagrodą Kołcuna, a wiedząc, że ów cerber zwykł był dobierać się do pleców podróżnych, siedzących na niskich saniach, uzbroiłem się w rewolwer. W istocie psisko poczęło mnie wściekle atakować, więc palnąłem do niego widocznie skutecznie, bo pies skowycząc pomknął ku zagrodzie. Silny to był wilk, który takiemu psu dał radę.

Tej zimy nawet w górach nie spadły zbyt obfite śniegi, rzeki San, Solina i inne kilkakrotnie to zamarzały, to tajały, z tego to powodu były wilki zmuszone wpadać do wsi i chwytać psy lub cokolwiek z dobytku. Podczas zawalnych zim łatwo wilkom chwycić sarnę, a nawet jelenia, które w przerażeniu co tchu pomykają, zapadając głęboko w śnieg i męcząc się aż do rozparcia, podczas gdy wilki rozwinąwszy się w tyralierski łańcuch dążą za pojedyńczą sztuką lub całem stadkiem nie cwałem, lecz tak zwanym psim truchcikiem, i zawsze prześladowaną ofiarę zforsują. Napędzają ją też na lody, gdzie łatwą staje się zdobyczą. Gdy śniegów nie ma, prześladowana zwierzyna ucieczką się ocala.

Najstraszniejszą dla zwierzyny samołówką jest niezawodnie stempica, każdy chłop kłusownik ją sporządzi i ustawi bez kosztu i wielkiego trudu, leśny i leśniczowie, nie obznajomieni z fortelami kłusowniczymi, nie dostrzegą tego strasznego narzędzia zwłaszcza w górach, śród przepaści. Górale w ogóle, z wyjątkiem hucułów i górali tatrzańskich, którzy chętniej używają strzelby, trudnią się ptasznictwem, chwytając kwiczoły. Na całej przestrzeni Karpat mało który z górali umie strzelać i posiada strzelbę, ale oddają się chętnie kłusownictwu. Nie ma wsi w górach, w którejby nie było kilku lub kilkunastu zwolenników stempicy. W każdej porze nastawia się ją w celu spożycia schwytanego zwierza lub sprzedania jego futra, to też niszczy ona ogromnie zwierzostan. Należałoby zwrócić baczniejszą, jak dotąd, uwagę, na ten rodzaj kłusownictwa i postanowić nagrody dla tych, którzy bądź nastawiających stempicę na gorącym uczynku złapią, lub też nastawione stempice wyszukują i niszczą. Polecam gorąco tę sprawę Wydziałowi galic. Towarzystwa łowieckiego i szanownym delegatom jego.

Gawin.

KRONIKA.

„Łowca" Kalendarz myśliwski i rybacki na rok 1884. „Tu melius scribes, ego tendam arcum." W istocie wolałbym *tendere arcum*, niż brać się do pióra, by o tym kalendarzu pisać, bo nie zdołam wszystkich jego zalet należycie określić. Przed oczyma naszemi leży ozdobnie oprawne dziełko, powyższy tytuł noszące. Przyznajemy, żeśmy z pewnym rodzajem bojaźni brali do rąk ów kalendarz. Praca to w tym rodzaju pierwsza, z którą Redakcya „Łowca" wobec szerszej łowieckiej publiczności wystąpiła, a znane dobrze przysłowie: „Pierwsze koty za płoty". Ale pierwsze już stronnice przejęły nas miłem zadziwieniem, bośmy *ex ungue* poznali, że to kalendarz, który wymaganiom świata łowieckiego odpowiedzieć może. Wszystko, co w myśliwym interes obudzić może, jest tam starannie zebrane. Kalendarz ten możemy nietylko każdemu w tym zawodzie rozmiłowanemu myśliwemu, lecz nawet dyletantowi najgoręciej polecić. Treść w nim bogata i zajmująca, zapiski myśliwskie do każdego miesiąca pouczające o miejscu przebywania, żywności i t. d., rzucone śmiało, mogą być nazwane krótko zebraną historyą naturalną i nauką łowiectwa. W dziale tym mielibyśmy chyba to wymaganie, by obok każdego miesiąca była wsunięta jedna czysta karta, podzielona liniami na dnie, w których podziałkach mógłby myśliwy przyszłe czynności swoje notować. W podziałkach tych możnaby też naznaczyć długość dnia, godzinę wschodu i zachodu słońca, jakoteż wschód i zachód księżyca. Najbardziej zalecają kalendarz umieszczone w nim ustawy łowieckie i rybackie, z których w każdej chwili potrzebnych wiadomości zaczerpnąć można. — W bibliografii łowieckiej polskiej brakuje wielu dzieł nam znanych, które dla pożytku Redakcyi dołączamy. W tablicach rui, lęgu i t. d. należałoby dodać charakterystyczne znamiona najważniejszych ptaków, które ustawa jako szkodliwe lub pożyteczne oznacza. Wyświadczyłby tem kalendarz nie małą przysługę wielkiej części myśliwych, nie każdy bowiem z nich zna ich cechy i często zdarzyć się może, że z tego powodu zabije pożytecznego ptaka zamiast szkodliwego, czemu taki klucz rozgatunkowania ptaków mógłby zapobiedz. — W dziale literackim z przyjemnością znajdujemy znany myśliwym „Chór strzelców" naszego wieszcza Adama. „Kaczki, pogadanka myśliwsko-ornitologiczna", daje nader cenne wskazówki oznaczania gatunków kaczek i polowania, praca to cennego pióra zacnego i zasłużonego mecenasa nauk przyrodniczych w kraju. hr. D.; wreszcie miły obrazek polowania na bekasy W. Tomanka. — W dziale informacyjnym zresztą pożytecznym, nie widzimy potrzeby umieszczania wzorów do obliczania obwodów i t. d. Większą natomiast miałoby wartość umieszczenie taryfy przewozu zwierzyny i innych mających z łowiectwem styczność przedmiotów na kolejach galicyjskich. — Braki w kalendarzu, jakie wykazaliśmy, są mało znaczące, w porównaniu z zaletami są one kroplą w morzu; możemy przeto powinszować Redakcyi „Łowca" szczęśliwego wyboru w zebraniu pożądanego dla myśliwych materyału. Kalendarz „Łowca" polecamy naszym myśliwym jak najgoręciej.

C. Kochanowski.

P. R. Wielce wdzięczni jesteśmy za ten głos o Kalendarzu, którym pragnęliśmy oddać myśliwstwu naszemu istotną usługę. Pochlebne zdanie o nim powyższe, jakoteż inne, jakie nas dochodziły, utwierdzają nas w przekonaniu, żeśmy cel nasz w znacznej części osiągnęli, zachęcając zarazem do dalszego wydawnictwa. Z równą wdzięcznością przyjmujemy zarzuty, uznajemy ich słuszność i chętnie się do nich w redakcyi następnego kalendarza zastosujemy. Ponieważ materyał łowieckiego kalendarza jest bogaty, a staraniem naszem było ująć ów materyał w książkę niewielkich rozmiarów, prawdziwie podręczną, nie daliśmy kart czystych przy każdym miesiącu, lecz tylko dział zapisków, w którym myśliwy, cokolwiek zechce, notować może. Długość dnia, wschód i zachód słońca i księżyca znajdzie czytelnik z łatwością w kalendarzu astronomicznym. Za cenne dodatki do bibliografii polskiej szczerze dziękujemy, umieścimy je chętnie, znajdujemy wszakże w nich artykuły czasopiśmienne, które chyba do specyalnej monografii o tym przedmiocie należą, jakoteż wymagane znamiona charakterystyczne ptaków pożytecznych i szkodliwych, które żadną miarą w tabliczce zamieścić się nie dadzą. Co do działu informacyjnego poczynione uwagi będą dla nas cenną wskazówką.

Wycieczka na kormorany. Kormoran, kruk morski *(Carbo cormoranus, der Seerabe)*, należy w naszym kraju do nader rzadkich ptaków i tylko w niektórych latach podczas przeciągu bywa dostrzegany. Przed laty 30 już słyszałem, że na ogromnym stawie Krakowieckim śród kępy gnieździły się kormorany, odtąd nigdy mnie o nich wieści nie dochodziły. Książę Stanisław Lubomirski, pamiętając zawsze łaskawie o Muzeum im. Dzieduszyckich, pozwolił mi w roku ubiegłym robić wycieczki ornitologiczne na staw Krakowiecki, lecz nie spodziewając się prócz kaczek jakich innych nadzwyczajnych zdobyczy dla nauki, nie korzystałem z tego pozwolenia. Dnia 11. Czerwca b. r. uwiadomił mnie p. Krzyszkowski, pełnomocnik księcia, iż pojawiły się kormorany i gnieżdżą się na kępie. Pospieszyłem zaraz nazajutrz do Krakowca. Jedyne to, ile mi wiadomo, miejsce w Galicyi, w którem kormorany gromadnie się zbierają i gnieżdżą. Uprzejmości p. Krzyszkowskiego zawdzięczam wszelkie ułatwienia w mojej wyprawie. O trzysta ledwie kro-

ków od brzegu stawu znajduje się kępa, na której rośnie kilkanaście jasionów i osik. Kormorany założyły na dwóch osikach 12 gniazd w towarzystwie czapli siwej, z którą w przykładnej żyją zgodzie. Udało mi się zabić samicę, wybrać dwa jaja i zdjąć gniazdo z jednym młodym kormoranem, jeszcze zupełnie nagim, czarnym, połyskującym jak rękawiczka, odmiennym zupełnie od innych młodych nielotów. Wzbogaciwszy Muzeum tak cennym nabytkiem, wróciłem z tej wycieczki, unosząc prawdziwie miłe wspomnienia. — Wydra, kormoran, czapla, orzeł rybołów i orzeł bielik, ostatni szczególnie podczas spustów naszych stawów, należą do najdrapieżniejszych szkodników, powinne być przeto gorliwie prześladowane i tępione, zwłaszcza na stawach sztucznie zakładanych. Przy dzikiem prowadzeniu gospodarstwa stawowego u nas mało kto zwraca na nich uwagę. Mamy wszakże nadzieję, że po sankcyonowaniu ustawy rybackiej skutecznie się tej klęsce zapobieży. Ustawę tę zawdzięczamy drowi Nowickiemu, którego niezmierne zasługi niestety mniej są znane i cenione w kraju, jak za granicą, skąd otrzymuje mnogie dyplomy i pisma uznania. Wkrótce zamierzam zrobić powtórną wycieczkę i mam nadzieję zdobyć stare kormorany i młode w puchu.

Wł. Zontak.

Z nad brzegów Pilicy.

Wobec często pojawiających się sporów między rolnikami i myśliwymi, ażali wrony należy tępić lub ochraniać, czy wrony są wędrownymi ptakami, czy te, które się u nas lęgną, w jesieni wędrują do krajów południowych, a inne do nas z północy przyciągają: powinniby nas ornitologowie w „Łowcu“ objaśnić i udzielić nam swych badań i doświadczeń. — Ciąg słonek był tego roku w naszej okolicy dosyć pomyślny, pomimo że wieczory często były zimne i dżdżyste, ciągnęły słonki przeważnie z wiatrem północno-wschodnim. Lęg ptactwa i kotelnica zajęcy dotychczas bardzo obiecujące, a jeżeli w lecie nawalnice i powodzie młodych piskląt i zajęcy nie wytopią, to polowanie na ptaki i zające będzie świetne, byłaby to kompensata za przeszłoroczną klęskę w zwierzynie czworonożnej i skrzydlatej. — W Piotrkowicach małych, pół mili od Proszowic, w dolinie Śreniawy, w pobliżu dworu i zabudowań folwarcznych, znajduje się kilka morgów wikliny. Pewnej marcowej niedzieli wpada w podwórze folwarczne urlopnik, zostający w służbie dworskiej, z wieścią, że w wiklu czart się okazał, usadowił się na wierzbie w postaci lisa, i że go chłopi idący do kościoła otoczyli w koło. Rządzcy nie było w domu, więc pisarz prowentowy chwycił lefoszówkę rządzcy, ale urlopnik widząc, że pan pisarz jakoś nie bardzo zna się ze strzelbą, prosił usilnie, by mu ją odstąpił, twierdząc, że w wojsku wyuczył się strzelać celnie i że do najlepszych strzelców w pułku należał. Próżne było błaganie, mimo iż przy majstrowaniu koło kurków jedna lufa wypaliła jakoś szczęśliwie dla niego i dla otaczających, pisarz ruszył za urlopnikiem z kilkoma parobkami do wikliny, gdzie znalazł jeszcze lisa na wierzbie, poczem wymierzył, strzelił i ściągnął go na ziemię. Zanim zdążono dojść do lisa i w tryumfie zanieść do domu, zerwał się, prześlizgnął ku rzece, wskoczył w nią i tyle go widziano. Chociaż zabobonnym nie jestem, szczerze wyznaję, iż miałbym ochotę uwierzyć, iż to był czart w lisiej postaci. Wszakże to się działo w niedzielę rano, gdy ludzie szli do kościoła, wreszcie mógł zły duch mieć zły zamiar poróżnienia pisarza z urlopnikiem, bo jeżeli nie o „pasaniu świń“, to z pewnością o „sypaniu soli pod ogon“ musiała tam być mowa.

Witold hr. Potocki.

Popieluchy, w Maju.

Opowiedział mi książę C. w tych dniach dziwne wydarzenie, które z jego przyzwoleniem „Łowcowi“ komunikuję. Przed laty bez mała czterdziestu, gdy od nas do Odesy przesyłano zboże mażami czumackiemi, a jeżdżono pocztą, ks. C. przebiegał przestrzeń dwudziestomilową stepu między Bałtą a Odesą rączymi, pocztowymi końmi, i zwykle w lecie pod wpływem kurzu i spiekoty drzemał w powozie. Pewnego razu obudziło go nagle mocne uderzenie w głowę. W pierwszej chwili książę począł gniewnie łajać furmana, iż nieuważnie uderzył go biczem, ale ten zaklinał się na wszystkie świętości, iż tego nie uczynił. Nie mógł książę odgadnąć przyczyny, wreszcie spostrzegł u swych nóg leżącą nieżywą przepiórkę, a rozglądnąwszy się ujrzał nad swą głową krążącego krogulca, domyślił się więc łatwo, iż uciekająca przed napaścią przepiórka rozbiła się o głowę jego.

Dołączam wykaz zabitej u mnie w ciągu roku do 1. Lutego 1884 zwierzyny: kszyków 45, dubelt 1, fickuzów 4, słonek 2, kulików 2, kuropatw 3, przepiórek 42, chruścieli 7, kurek 3, kaczek 9, gołębi 2, turkawka 1, jastrzębi 2, sowa 1, lisów 9, kozłów 11, zajęcy 116, razem sztuk 263.

J. Brzozowski.

Kongres myśliwski w Wiedniu miał się odbyć 9. Lipca, lecz z powodu nasuwających się trudności, których komitet urządzający kongres usunąć nie mógł, odroczono termin zwołania jego do drugiej połowy Października. Pora to niezawodnie odpowiedniejsza i można się spodziewać, że wtedy znaczna liczba myśliwych weźmie w nim udział, a rezultat obrad będzie dla myśliwstwa ogólnego obfitszym w owoce.

Wydział galic. Towarz. łow. przesłał delegatowi powiatu Liskiego Wmu. T. Żurowskiemu 5 złr. jako nagrodę dla Mikoły Pawliszyna, leśnego w Teleśnicy sannej, za gorliwe prześladowanie kłusowników.

Dora, w Maju.

Pozwoli mi szanowa Redakcya zwrócić uwagę na pewien zwyczaj, który w naszej literaturze łowieckiej przyjęty, łatwo jako zupełnie obcy usunięty z niej być może. Powszechnie, Diana, przedstawicielka myśliwstwa w mitologii greckiej, bywa u nas również jako taka uważana. Nasuwa się pytanie, czy koniecznie musimy w mitologii obcej szukać przedstawicieli łowiectwa naszego, czy też nie mamy odpowiednich bożków w mitologii naszej? Rzecz to wprawdzie małej wagi, dlaczegoż jednak mamy się posługiwać obcemi naszemu językowi wyrażeniami, gdy równie piękne mi są własne? Prawda, że nasza młodzież w gimnazyach bardziej jak potrzeba męczy umysł światem bogów greckich i rzymskich, i kończąc gimnazyum tyle chyba nabędzie wiadomości o mitologii słowiańskiej, ile dorywczo przy objaśnianiu czytanych utworów naszych poetów, zwłaszcza klasycznych, nauczyciel języka polskiego uzna za konieczne nadmienić, iż ten lub ów bożek grecki czy rzymski odpowiada temu lub owemu bożkowi słowiańskiemu. Tyle też tylko młodzieniec wynosi wiedzy ze szkoły z mitologii słowiańskiej, reszty sam chyba mozolnie poszukiwać musi, lubo w gimnazyach językiem wykładowym jest język polski, a historya i literatura polska są przedmiotami obowiązującymi. Może i tu znalazłby „Strachajło“ zagadkę do rozwiązania! W naszej słowiańskiej mitologii Dziewonija była opiekunką lasów i zwierząt, Radogost był bożkiem myśliwych, a Światybor lasów i puszcz leśnych. Dlaczegoż nie moglibyśmy nimi zastąpić obcych bogów? Pozwolę sobie inicyatywy życzeniem, aby rychło Radogost zastąpił miejsce Diany w „Łowcu“. Niech mi również wolno będzie wspomnieć, iż tytuł „Dziewanna“ byłby o wiele odpowiedniejszym dla organu gal. Towarzystwa leśnego, jak obcy „Sylwan“.

C. Kochanowski.

P. R. Uznajemy słuszność uwag sz. korespondonta, bo radzibyśmy strzedz nietylko czystości języka, ale też naszej tradycyi dziejowej czy naukowej; wątpimy jednak, iżby zwyczaj nadto wkorzeniony, łatwo się dał usunąć. Próbujmy, w każdym razie przyznamy sobie: *et haec meminisse juvabit!*

Sewerynka, Czerwiec.

Pod względem łowiectwa robię co mogę, oszczędzam zwierzynę, był nawet czas, w którym w skutek podawania zimową porą żeru miałem w rewirze stałe sarny. Niestety znikły one, a gdzie się podziały, wie o tem najlepiej łaskawy sąsiad z Oleska, który leśniczemu swemu dał nieograniczone pozwolenie polowania w każdej porze. Las mój nie wielki, a co najfatalniejsze, styka się z lasem Oleskim, w którym przyjęty system bezwzględnego tępienia zwierzyny. Przysiołek Chwatów posiada mnóstwo kłusowników, którzy biją co się nawinie, a do mistrzowstwa doprowadzili chwytanie kaczek i bekasów na sidła. Całą okolicę zaopatrują w zwierzynę. C. k. żandarmerya wie o tych bezprawiach, lecz nie wiem, z jakiej przyczyny nie strzeże ustaw łowieckich, o których zapewne świetne c. k. Starostwo Złoczowskie ją zawiadomiło. Ośmielam się dodać, że jeden delegat Tow. łow. na tak obszerny powiat nie wystarcza, trzebaby najmniej dwóch, i sądzę, że pan Gniewosz z Kątów, w teoryi i praktyce zasłużony myśliwy, a przytem pełen najlepszych chęci i energii, byłby najodpowiedniejszym, i pewnie nie uchyliłby się od tych obowiązków, mających dobro powszechne na celu.

Uj.....

Na korespondencyę moją, umieszczoną w „Łowcu“ z d. 1. Marca b. r., pojawiły się aż dwie odpowiedzi, mianowicie w numerze z 1. Kwietnia korespondencya podpisana przez p. Ar. i w numerze z 1. Maja korespondencya p. Józefa Błażyńskiego, nadleśniczego w państwie Dębickiem. Nie mogę pominąć milczeniem tych odpowiedzi, gdyż byłoby to przyznaniem, że korespondencya moja była, co najmniej, lekkomyślnie napisaną. Czy tak się rzecz ma istotnie, mógł uważny czytelnik sam osądzić, odpowiedzi bowiem pp. Ar. i J. Błażyńskiego były tylko potwierdzeniem tego, o czem pisałem, a pisałem tylko najrzetelniejszą prawdę i nie kierowała mną żadna osobista niechęć. Wszak obaj szanowni korespondenci przyznają, że w państwie Dębickiem zwierzyny

nie ma, że dzierżawcy nadużywają przysługującego im prawa polowania, że pełnomocnik p. P. pozwala „niekompetentnym“ myśliwym polować, że wreszcie remizy zostały wykorczowane i t. d. Sądzę, że zwierzynie wszystko jedno, czy ją tępią ludzie opatrzeni w pozwolenie, czy też dzierżawcy lub kłusownicy, również nie jest dla niej pociechą, że remizy wykorczowano „dla wyrównania pola dawnicj już wykorczowanego“ *(curiosum)*. Pan J. Błażyński powinien o tem wiedzieć, że remizy zwykle śród uprawnych pól się zakłada, trzebaby więc dla wyrównania pól wszystkie remizy wykorczować. Nie wiem, co właściwie obaj sz. korespondenci odeprzeć chcieli· p. Ar. zarzuca mi, że wyrządziłem krzywdę nadleśniczemu p. Błażyńskiemu, ten znowu, żem ją wyrządził pełnomocnikowi p. P. Tego już pojąć nie mogę. Wszak o panu Błażyńskim nie wspomniałem ani słowa, wiedząc, iż on lubo dzielny leśnik i myśliwy, nie może mimo najlepszych chęci poświęcić łowiectwu tyle starań, ile ono zasługuje. Wszak p. Ar. sam twierdzi, że w skarbie Dębickim panują despotyczne stosunki. Trudno mi było bliżej je określać, wolałem więc milczeniem je pominąć i o panu Błażyńskim wcale nie wspominać. Również pojąć nie mogę, czem to krzywdę pełnomocnikowi p. P. wyrządziłem, chyba zwróceniem uwagi na stosunki, które w prowadzonej zresztą wzorowo administracyi istnieć nie powinne, z dołączeniem prośby o usunięcie tychże. W takim razie *mea culpa!* W końcu zagadką jest dla mnie, w którym ustępie mojej korespondencyi wyczytał p. Błażyński krytykę administracyi lasowej skarbu Dębickiego. Pisząc o wycinaniu lasów, nie zwracałem się specyalnie do skarbu, lecz do całej okolicy. Zbytnia krewkość nie dozwoliła p. Błażyńskiemu odczytać mojej korespondencyi z taką uwagą, z jaką należy czytać choćby zwykły list, nim się nań odpowie. Ta sama krewkość podyktowała p. Błażyńskiemu insynuacyę przeciw wszystkim sąsiedztwom skarbu Dębickiego, wskazującą czyny, nie mające z łowiectwem żadnej styczności, którą też jako zbyt pochopną stanowczo odpieram.

T.

Kołomyja 25. Maja.

U nas nie istnieje czas ochrony zwierzyny dla kłusowników, bo 20. Kwietnia sprzedawał w Kołomyi żyd rzeźnik świeżą sarninę. Tutejszy c. k. Sąd traktuje obojętnie prawie każdą sprawę wniesioną przeciw kłusownikom, jak świadczy fakt następujący. Pan D., właściciel polowania gminnego w Rakowczyku, zaskarżył trzech kolonistów z Mariahilf, którzy 25. Marca r. b. z psem na terytoryum Rakowieckiem polowali i postrzelili zająca, znalezionego tegoż samego dnia przez polowego. Mimo zeznań przesłuchiwanych świadków, c. k. Sąd del. nie powziął przekonania o winie owych kłusowników i uniewinnił ich. Raczy świetne gal. Towarzystwo łowieckie wyjednać u Wys. c. k. Namiestnictwa rozporządzenie, by w wypadkach przekroczeń ustaw łowieckich na ustne zgłoszenie się delegata Tow. łow. lub członka Wydziału Towarzystwa myśliwskiego do c. k. Starostwa, śledztwo niezwłoczne zarządzone zostało. Najskuteczniejszym wszakże środkiem byłoby konfiskowanie broni u włościan trudniących się kłusownictwem i ścisła kontrola tych, którzy dzierżawią polowania gminne.

Z Wydziału Towarzystwa myśliwskiego.

F.

Profesor uniwersytetu Jagiellońskiego Dr. Maksymilian Nowicki otrzymał znowu wysokie odznaczenie za zasługi na polu ichtiologii i racyonalnej hodowli ryb. Towarzystwo aklimatyzacyjne w Paryżu *(société nationale d'acclimatation de France)* przysłało mu na wniosek komisyi nagród wielki srebrny medal *(grande medaille d'argent, effigie d'Isidore Geoffroy St. Hilaire)*. Jest to jedna z najwyższych nagród, jakiemi Towarzystwo wedle statutów swych rozporządza. Medal ten ma na jednej stronie portret słynnego przyrodnika Izydora Geoffroy St. Hilaire, na odwrotnej zaś stronie napis składający się z nazwiska laureata, z daty i wymienienia zasług, za które nagroda przeznaczoną została *(Pisciculture en Pologne)*. Uroczyste wręczenie medalu odbyło się na publicznem dorocznem posiedzeniu Towarzystwa dnia 3. Maja w teatrze Vaudeville w Paryżu.

Wykaz ubitej zwierzyny w roku 1883—4 na kr. pruskich łowach dworskich. Jeleni 737, danieli 1701, dzików 758, sarn 147, bażantów 814, zajęcy 2873, kuropatw 1936, gęsi, kaczek, bekasów 425, czapli, kormoranów i t. d. 541, lisów 293, kun 33, tchórzów 72, lasic 155, ptaków drapieżnych 803, różnej 1125. Razem sztuk 12.405. *(Jagdzeitung.)*

Wykaz ubitej zwierzyny w rewirach c. k. naczelnego urzędu łowczego w roku 1883. Zwierzyna pożyteczna: jeleni 195, danieli 164, dzików 405, muflonów 13, sarn 46, zajęcy 13.331, królików 3669, dropiów 8, bażantów 1095, kuropatw 6382, bekasów 24, dzikich gęsi 215, przepiórek 274, rozmaitej 307. Razem sztuk 26.133. Zwierzyna szkodliwa: lisów 10, borsuków 9, wydr 9, kun 29, tchórzów 305, łasic 455, różnej 982, orłów 3, sokołów 344, jastrzębi 268, wron i srok 1751, sów 218, czapel 19, kormoranów 12. Razem sztuk 4414. Ogólna suma 30.547. Największą część wykazanej zwierzyny ubito na polowaniach dworskich. Z tej zabił następca tronu arcyksiążę Rudolf sztuk 4919. Główne rewiry łowieckie są: Asparn, Auhof i Laxenburg.

Upraszamy wszystkie krajowe Towarzystwa myśliwskie, jakoteż Towarzystwo rybackie w Krakowie, o rychłe podanie zmian, dotyczących ich organizacyi i zakresu działania, jakie w „Kalendarzu myśliwskim Łowca“ w roku następnym mieć pragną.

Przypominamy sz. członkom Towarzystwa łowieckiego, iż wkładkę roczną należy złożyć najpóźniej z końcem Marca.

Uprasza się o doniesienie, gdzie obecnie znajduje się leśniczy **Klimek.**

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Żorża.